



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Aleksander Szmiel

Sowieci w Braślawiu (1939)

Koniec roku szkolnego 1938/39 nie był dla mnie radosny. Żał było pięknych dni spędzonych w Braślawiu, życzliwych profesorów i kolegów, interesujących lekcji oraz setek grand i psikusów towarzyszących codziennemu uczniowskiemu życiu. Rok ten minął jak cudny sen, niepokojony jedynie od czasu do czasu pomrukami zbliżającej się burzy, na które zresztą nie zwracało się szczególnej uwagi. W dziecięcych rozmowach przewidywaliśmy wkroczenie zwycięskich polskich wojsk do zdobytego Berlina. Inaczej przecież być nie mogło, bo prasa i radio stale zapewniały o sile naszej armii.

W domu¹ było smutno, ponieważ brat od kwietnia służył w wojsku. Codziennie oczekiwało się listu z Wilna. W każdym pełno było optymizmu i zachwytu nad życiem wojskowym, stąd też nie wiadomo było z jakiego powodu mama płakała – ze smutku czy szczęścia. Któregoś dnia brat donosił, że jest w szkole podoficerskiej, że za próbę sprzeciwu przed tym „wyróżnieniem” zmuszono go do umycia wszystkich wychodków. Byłem dumny z jego sukcesów, a jednocześnie smutno mi było bez niego.

Ziemie w czasie nieobecności brata uprawiał ojciec mojego kolegi Janka Pirtania, biorąc za to połowę wszystkich plonów. Ciężkiej pracy nie musiałem się więc obawiać, ale też na nudę nie narzekałem. Przez cały dzień z ojcem lub matką byłem w ruchu. Zajęcia w ogrodzie, przy krowach, owcach i w domu zajmowały wiele czasu.

Lato tego roku było piękne. Słońce prażyło z błękitnego nieba, w sadach rumieniły się owoce, a noce pełne czaru odbierały ochotę na sen.

Tak jak w latach poprzednich przyjechał z Wilna Zbyszek Borowski i razem ze swoją siostrą Ziutką zamieszkał u swojej ciotki Władzi. Tym razem z Ziutką przyjechała jej koleżanka Ela – szczupła i miła panienka. Miałem towarzystwo do zabawy. Do naszej grupy „wieśniaków” – to jest mnie, Piotrka, Janka, Wiktora i Józia (dziadźki) dołączyło dwóch „mieszczuchów”, czyli Zbyszek oraz (na krótko) Vilis Purmalis z Rygi. Otoczony bagnami las zwany Nowiną, pełen różnych zakamarków, dolinek, wzgórz i trawiastych polan, a także małe jezioro Okoń rozbrzmiewały naszym gwarem. Toczyły się tam nieustanne walki szyszkami świerkowymi między obozem „Niemców” i „Polaków”, przy czym udział w grupie niemieckiej był uważany za hańbę. Był też dość przykry, ponieważ nie wypadało takiej grupie wygrać. Nieraz godzinami pływało się w ciemnej wodzie jeziora siedząc okrakiem na drewnianej

¹ Na samym cyplu północnej Wileńszczyzny, wcinającym się lekko w granice Łotwy, leżało sześć wiosek zwanych Dumaryszkami. Nosily one różne nazwy, które przed samą wojną zaplanowano ujednoczyć. Miały one brzmieć następująco: Bochny, Antosiówka, Kolebki, Kozły, Szeki, Sikory i Szerszenie.

desce, jak na koniu. Wybierało się wąskie przejścia między gęstwiną lilii wodnych i grzybieni, widząc w wyobraźni żaglowe okręty przedzierające się przez lodowe pola dalekiej Arktyki.

Cisza upalnych dni i nocy koła wszystkie obawy i troski. Wstąpił w nas jakiś wyjątkowy duch humoru i psoty. Spaliśmy w stodole opowiadając różne historie i obmyślając jakieś nowe grandy. Chcąc sprawdzić jaki efekt może wywołać zrobiona przez Janka diabelska maska wybraliśmy się pewnego pięknego wieczora do państwa Łukańskich, aby ich przestraszyć. Janek zdjął koszulę, węglem na ciele wymalował pręgi imitujące żebra, na głowę włożył maskę i poprowadził nas jako główny inicjator. Wrażenie było rzeczywiście okropne. Również o godzinie dwunastej w nocy cała rodzina siedziała przy stole, gdy nagle bez szmeru uchyliły się drzwi i straszna postać wsunęła do środka rogatą głowę i część „szkieletowatego” tułowia. Dzieciom powypadały ze strachu łyżki z rąk, nastąpiła minuta grobowej ciszy, a następnie buchnął spazmatyczny płacz maluchów i przekleństwa rodziców. My tymczasem z bezpiecznej odległości wsłuchiwalimy się we wrzawę wywołaną naszym „kawałem”. Gdy dłuższy czas nie ustawał płacz zrzędy nam miny i zamiast spodziewanego zadowolenia z żartu zrobiło się jakoś nieswojo. Próżno nadrabialiśmy miną – urok przysł. Postanowiliśmy nie chwalić się z tego „sukcesu” i na ogół dotrzyaliśmy danego sobie w tej sprawie słowa.

Cicho rozmawiając wracaliśmy do bazy wypadowej, którą stanowiła nasza stodoła, gdy nagle zauważyliśmy leżący obok zabudowań Kucharonka duży snop pięknej słomy (zwany kulem²) przygotowany do wiązania snopków jęczmienia. Bez chwili namysłu Janek chwycił snop w ręce. Starając się robić jak największy ślad ciągnął nową zdobycz i pokrzykiwał na nas, gdy któremu przysła ochota postawić nogę na wytartym szlaku. Zdobycz tę przyciągnęliśmy pod dom Wańki „Zacharonka” i zostawiliśmy pod progiem. Po drodze rozwaliliśmy kopę siana, a w drugim miejscu rozwalone siano ułożyliśmy w kopkę i syci wrażeń wróciliśmy do swojej bazy. Na drugi dzień nasłuchiwalimy echa nocnej grandy. „Dowcip” ze straszeniem dzieci tym bardziej nas przygnębiał im bardziej rozchodziła się jego „sława”. Kawał ze snopem udał się natomiast nadzwyczajnie. Rano pan Kucharonek widząc brak słomy ruszył wytartym śladem, który prowadził do cieszącego się nie najlepszą reputacją Wańki. Ten z kolei zobaczywszy przed progiem rzucony niedbale kul doszedł do wniosku, że jacyś złodzieje dobrali się do sieni. Sądził, że spłoszeni przez kogoś zgubili jeden snop przed progiem. Spotkanie dwóch rozgniewanych sąsiadów o mało nie skończyło się bójką. Zdołali jednak w porę ochłonąć z gniewu i zorientować się, że z nich po prostu zażartowano. Skończyło się tylko na śmiechu.

Pamięć o przykrości, jaką wyrządziliśmy państwu Łukiańskim odwiodła nas od zamiaru robienia złośliwych kawałów. Wyprawy nocne jednak nie ustawały. Ograniczały się jednak do wędrówek miedzami, łąkami i różnymi wertepami i snucia rozmaitych marzeń, a czasem rozmów o zbliżającej się wojnie.

Wieści o naszych nocnych eskapadach dotarły do Ziutki i Eli. Pobudziło to ich wyobraźnię do tego stopnia, że nakłoniły nas do zorganizowania wspólnej wyprawy. W umówiony wieczór stawiliśmy się ze Zbyszkiem przed stodołą, gdzie na umówiony gwizd zjawily się nasze panienki. Zrobiły to w sposób dość oryginalny, bo zjechały na siedzeniach ze szczytu dachu i z wysokości około dwóch metrów zeskoczyły przed nami na ziemię. Ubrane po męsku, podobne były do wysokich, szczupłych wyrostków. We czworo ruszyliśmy w drogę. Wędrowaliśmy miedzami opowiadając prawdziwe i zmyślane historie, zrywaliśmy owoce z drzew stojących blisko psich bud, a w końcu urwaliśmy wielką dynię w ogrodzie sąsiada i położyliśmy mu na jego ganku. Po jakimś czasie przeszliśmy na teren sąsiedniej wsi. Drzemiący w nas dotąd dość spokojny duch przemienił się nagle w złośliwego chochlika. Sznur z wiszącą bielizną został podniesiony o dwa metry wyżej, drzwi do kilku chałup zostały przez wszędybylskiego Zbyszka podrapane kołkami, a w poprzek drogi w środku wsi została zbudowana barykada z jakiejś furi, dwu bron i różnych innych gratów. Wszystko to odbywało się bez rozmów i głośniejszych szmerów. Zatrzymaliśmy się dla odpoczynku na mostku w pobliżu wsi. Byliśmy tak zajęci dyskusją o dokonanym „dziele”, że nie zauważyliśmy rowerzysty, który wyłonił się z mroku i zahamował tuż przed nami. Poderwał nas dopiero jego okrzyk: „kto tu!”, „Co się tutaj dzieje?” Bez słowa rzuciliśmy się do ucieczki. Biegliśmy w ślad za Elą, która skierowała swe kroki w kierunku północnym, czyli przeciwnym do tego, z którego przyszliśmy. Za nami gonił rowerzysta, lecz potykał się o nierówności gruntu i w końcu zrezygnował z pościgu. Dopiero na pastwisku z przerażeniem stwierdziliśmy brak Ziutki. Zataczając duże półkole weszliśmy na właściwą drogę, obok której usiedliśmy na miedzy nasłuchując każdego głosu. Z daleka dochodziła wrzawa spowodowana naszym rozrabianiem. Po upływie blisko godziny ujrzeliśmy w mroku sylwetkę Ziutki. Oddalona o dziesięć metrów od fatalnego mostka przesiedziała bez ruchu w zbożu. Z podsłuchanych rozmów zorientowała się, że nas nie poznano, że posądzono o grandę chłopców z Dumaryszek IV. Resztę nocy spędziliśmy wspólnie w stodole na opowiadaniu o duchach i strachach. O wschodzie słońca – musiałem stawić się w domu udając rzeńskiego i wypoczętego, aby zabrać się do codziennych obowiązków.

² Kul – miejscowa nazwa grubego snopa słomy służącego do krycia strzech, które tu nie były tak postrzępione jak w Polsce centralnej.

Nieraz zastanawiałem się później nad tymi wyczynami. Czy można je zakwalifikować do chulikańskich rozróbek? Chyba nie. Nigdy nie mieliśmy złych zamiarów, nikogo nie chcieliśmy skrzywdzić, a jeśli kogoś w pewnym stopniu dotknęły nasze żarty, to nie wynikały one ze świadomego złośliwego działania.

Ziutka i Ela siedząc w głuchej wsi czuły się całkiem dobrze. Flirtowały z synem gminnego sekretarza z Pluss – młodym, chudym i wysokim jak tyczka geometrą, z młodymi kawalerami ze wsi, a w wolnych chwilach przyłączały się do naszych zabaw i nad jeziorem Okoń lub w lasach ganiały z nami jak małe dziewczynki.

Prawdę mówiąc były to jeszcze dziewczynki tylko nadzwyczaj wyrosnięte. Prawie codziennie obrywały od swojej groźnej ciotki. Razily ją flirty z chłopakami, nieustępliwość ze strony Ziutki, szczególnie jednak oburzał ją widok opalających się na łące w strojach kąpielowych pańienek. Dlatego też każdą nieobecność ciotki witały z radością. Urządzały wtedy przyjęcia, na które bywałem czasami zapraszany. Na stole zasłanym czystym obrusem pojawiły się herbata, kakao, bułeczka, konfitury i smorgońskie obwarzanki.

W końcu sierpnia przyjechała pełna radości, opalona na mulatkę Sławka – siostra Ziutki, która brała udział w spływie kajakowym po jeziorach i rzekach Ziemi Wileńskiej. Przywiozła ze sobą wieści o zbliżającej się nieuchronnie wojnie. Potwierdził je ich brat Mietek, który wpadł na jeden dzień, aby pożegnać się z siostrami i ruszyć do obrony Gdańska. Jego humor i optymizm udzielał się nam. Byłem ciekawy wojny i martwiłem się, że sytuacja wcale nie wygląda tak groźnie. Wielu zmobilizowanych wiosną wróciło na dłuższy urlop, a między innymi kuzyn Broniek i sąsiad Andrzej Waszczyński. Opowiadali o codziennych niemieckich prowokacjach, ale że tak trwało prawie od kwietnia, więc każdy z tym był oswojony.

Strażnica KOP-u została obsadzona rezerwistami pochodzącymi przeważnie z Wileńszczyzny, a mężczyźni z okolicznych wsi zostali powołani do pełnienia służby wartowniczej. Nie wyglądało to groźnie. Strażnicy bardziej przypominali listonoszy niż żołnierzy. Opalali się lub plotkowali z uzbrojonymi w kije cywilami. Nie pozostało nic z fasonu przebywających tu wcześniej zdyscyplinowanych i czujnych kopistów.

Brak brata dokuczał mi coraz bardziej. Bałem się trochę o niego, przygnębiał płacz matki i skrywany smutek ojca. Zbyszek był jeszcze zbyt dziecinny, a Janek, Piotrek i Józik niewiele orientowali się w tym, co się dzieje na świecie. Z Jankiem Łapińskim, który przez miesiąc przebywał u swojej ciotki Marii, nie można było nawiązać żadnej rozmowy. Był butny, zarozumiały i arogancki. Przywiozła go z Brasławia moja mama przyjeżdżając po mnie po zakończeniu roku szkolnego. Gdy jakiś Żydziak podszedł do wozu, Janek kopnął go z całej siły krzycząc: „geh weg, parszywy Żydzie!” Tego zachowania nie mogłem mu darować i dlatego też odruchowo od niego stroniłem.

Prasa donosiła o rokowaniach angielsko-sowieckich w Moskwie, a następnie o zerwaniu tych rokowań. Natychmiast potem ukazały się komunikaty o podpisaniu porozumienia Niemiec ze Związkiem Radzieckim oraz o udzieleniu Polsce przez Anglię i Francję gwarancji pomocy na wypadek zaatakowania przez III Rzeszę. Pamiętam karykaturę zamieszczoną w jakimś piśmie. Przedstawiała ona całujących się Niemca z Rosjaninem, a jednocześnie przykładających swojemu partnerowi sztylety do pleców. W sierpniowym numerze „Rycerza Niepokalanej” na pierwszej stronie zamieszczony był wiersz Karola Rostworowskiego pod tytułem „Naprzód”. Brzmiał on mniej więcej tak:

*Gdy z lewej wróg i z prawej wróg
Nie starczy okrzyk – źle jest!
Nie trzeba szczerzyć rąk i nóg,
Nie patrzeć – jak kto będzie mógł
Ogniowy przyjąć chrzest.
Gorąco!? Ha! W upalne dni
Najprędzej lan dojrzewa.
W słońcu jak szabla rzeka lśni,
Jak pancierz kora drzewnych pni,
Jak srebrny pocisk mewa.
Na ramię broń, na piersi krzyż
I naprzód w Imię Boże!
Wolę Narodu mieczem pisz,
A gdyby zawiódł miecz i spiz
Niech ducha wróg nie zmoże!
Bo duch – to hutnik, kowal, tkacz,
Hartownik przy warsztacie.
Póki on żyje w przyszłość patrz
Póki on żyje – w ogień skacz,
A nie zgorzejesz bracie.*

*Zgorzeje tylko ze zwłok łach
 Uszyty z żył i skóry,
 Zgorzeje tylko głupi strach,
 Że w końcu trzeba – och i ach!
 Cielesne zdjąć mundury.
 A trzeba, trudno, taki los.
 Na froncie czy w komorze
 Tak samo ci zbieleje włos,
 Tak samo w gardle zamrze głos,
 Więc naprzód w Imię Boże!
 Z sumienia swego uczyń biel,
 Amarant z krwi serdecznej
 I pod Ojczyzny stopy ściel,
 Białoczerwony trud i cel,
 A sztandar stworzysz wieczny.*

Wiersz ten powtarzałem przez dłuższy czas, aż się nauczyłem na pamięć, jakby przeczuwając, że wskazówki w nim zawarte będą przyświecać wszystkim uczciwym Polakom przez długie lata niewoli.

Przeczytałem w tym czasie jakąś powieść historyczną opisującą okrucieństwa krzyżaków. Wzmocniła ona pragnienie zniszczenia tego zła, a przynajmniej powstrzymania triumfalnego pochodu Hitlera bez wojny.

Wdałem się kiedyś w rozmowę z ojcem Janka – Józefem Pirtaniem. Na moje słowa wyrażające pewność zwycięstwa w ewentualnej wojnie roześmiał się w głos. Dzieciaku – powiedział – czy sobie zdajesz sprawę z potęgi Niemiec i słabości Polski?! Wojny się nie wygrywa zapalem żołnierzy, lecz potęgą gospodarczą i zasobem siły ludzkiej. Zapasy sprzętu, ludzi, broni i żywności, jakie posiadała Rosja w 1914 roku dziesiątki razy przewyższały możliwości Polski, a mimo to przegrała. Byłem przerażony i wściekły na niego, jednak logika rozumowania była przekonująca.

Jednego dnia postanowiłem odwiedzić kolegów z gimnazjum – Julka i Czeška Platów. Będąc u Pawła Żaby spotkałem się z Czeškiem i razem z Wałą Dunderówną poszliśmy do dworku Platów. Nie ma chyba nic piękniejszego na świecie, jak cisza małych dworków szlachty kresowej. Obszerny dom z typowym gankiem, otoczony sadem pełnym drzew owocowych i ogrodem warzywnym, przypominał opisywane w powieściach Orzeszkowej lub Rodziewiczówny. Objadaliśmy się truskawkami, malinami i porzeczkami. Później wyruszyliśmy do lasu, który w warunkach Polski centralnej nosiłby nazwę puszczy i tam objadając się czarnymi jagodami pokrzykiwaliśmy, aby się nie pogubić: Julek, jako starszy, flirtował z Wałą zachowując się przy tym jak prawdziwy džentelmen. Był unieźlenie grzeczny i udawał powagę, co nas bardzo bawiło. Wracaliśmy razem z idącym do obór stadem krów. Był cichy wieczór sierpniowy. Spokój zakłócały tylko głosy codziennej krzątania gospodarskiej, dla ucha raczej miłe i nie szarpające nerwów. Na ganku siedział pan Platt z gazetą w ręku. Złe dzieciaki – powiedział, gdy hurmem wpadliśmy na ganek – wojna wisi na włosku. Zrobiło mi się jakoś smutno, poczułem bowiem, że temu pokojowi grozi jakieś straszne niebezpieczeństwo.

Ciekawy byłem co się dzieje w Braślawiu. Coraz bardziej martwiłem się z powodu nowych trudności, związanych z dostaniem się do gimnazjum, uczyłem się bowiem za darmo. Życzliwi ludzie, którzy mi w tym pomagali, albo byli nieobecni, albo mieli inne poważniejsze zmartwienia. Moja koleżanka Wercia, ucząca się tak jak ja za darmo, będąc w Braślawiu wstąpiła do dyrektora Dobosza, aby się czegoś więcej dowiedzieć. Ten jednak ofuknął ją tylko: „nie zawracajcie mi głowy takimi głupstwami”. Oboje byliśmy smutni i przygnębieni.

Jeszcze bardziej przygnębiało mnie pożegnanie z całą gromadką odjeżdżającą do Wilna – Sławką, Ziutką, Elą i Zbyszkiem. Sławka obiecała, że po powrocie do Wilna będzie interweniowała w mojej sprawie w zarządzie TOM-u (Towarzystwa Opieki nad Zdolną a Niezamożną Młodzieżą Wiejską). Wiedziałem jednak, że chce mnie tylko pocieszyć.

Na ścianie starego domu stryjka Ignacego rozlepiono tego dnia afisze mobilizacyjne. W poprzek plakatu szła kolorowa wstęga dla ułatwienia zorientowania się rezerwistom, kiedy i gdzie mają się stawić. Powoływano wszystkich, którzy w książeczce wojskowej mieli podobny ukośny pasek. We wsiach zapanował smutek. Żegnali się najbliżsi. Mężczyźni starali się zachować spokój, choć nie zawsze im się to udawało. Michał hamując wzruszenie potwornie się krzywił, budząc mój mimowolny śmiech, Antoni nadrabiał zorstkością, a jedynie Piotr był spokojny i zdawało się – niewzruszony.

Następnego dnia pojechaliśmy z Wałą do Słobótki, aby przekazać jakieś paczuski swoim chłopcom, lecz niestety – nikogo ze znajomych nie spotkaliśmy. W cichych zazwyczaj koszarach KOP-u panował zgłęb i gwar. W bramie odbywały się smutne ceremonie pożegnań. Płakały kobiety i dzieci, nierzadko również widziało się łzę w oczach zmobilizowanych rezerwistów. Po powrocie do domu dowiedziałem się również, że wróciło z powrotem do Ciotki Władzi rodzeństwo Borowskich z Elą, ponieważ trudno było się dostać do pociągu, a Sławka zdecydowała pozostać na wsi do czasu wyjaśnienia sytuacji.

W piątek 1 września 1939 roku było pięknie i słonecznie. Od rana przebywałem nad jeziorem Okoń. Miejsce to stało się dla nas uroczym zakątkiem, w którym zapominało się o wszelkich nieszczęściach i bólach. W powietrzu unosił się zapach płonących torfowisk. Było cicho i spokojnie. Dopiero wieczorem dowiedzieliśmy się o wojnie. Mama opowiedziała o szybkim powrocie sąsiadów z targu w Dru. Straszna wiadomość rozgoniła gwarne dotychczas targowisko.

Następnego dnia rozlepiono plakaty z orędziem Prezydenta Rzeczypospolitej. Tekst był poważny i groźny: „Obywatele! W dniu 1 września 1939 roku odwieczny nasz wróg rozpoczął przeciwko Państwu Polskiemu działania wojenne. To stwierdzam wobec Boga i historii...”

W domu było wyjątkowo smutno. Mama przez cały dzień popłakiwała myśląc o swoim synu i moim jedynym bracie znajdującym się w szeregach I pułku legionów. W sobotę 2 września pomagałem przy koszeniu owsa, dziwiąc się, że mimo wojny świat, który mnie otacza pozostaje taki sam. Myślałem na froncie. Jak przebiegną działania wojenne? Kto zwycięży? Dopiero wieczorem poinformował nas o sytuacji w kraju Wilhelm Sadowski. Niemcy przeszli granicę na całej jej długości bombardując miasta i wsie, wojsko i ludność cywilną. Lotnictwo wroga strzelało nawet do dzieci pasących krowy. Wiadomość ta uderzyła we mnie jak grom. Dlaczego nasi są tacy słabi, dlaczego pozwalają niemieckiemu lotnictwu bezkarnie pustoszyć nasz kraj? Czyżby Józef Pirtań miał rację mówiąc o słabości Polski. Niewiele pocieszyła wiadomość o przystąpieniu do wojny Francji i Anglii. Może podświadomie odczuwało się fikcyjność pomocy ze strony tych państw. Jedynie Zbyszek nie tracił humoru i fasonu. „Ani się spostrzeżesz, jak rozgromimy Szwabów” – powtarzał, gdy wyrażałem swoje wątpliwości.

Spędzając czas nad jeziorem Okoń obserwowaliśmy agonię szczupaków. Wzdłuż brzegów zatapiano snopy lnu, wskutek czego woda zaczęła wydzielać obrzydliwy zapach, a swobodnie dotąd pluskające w niej ryby zaczęły masowo zdychać. Jak okiem sięgnąć widać było wystające łebki szczupaków, które z trudem łapały powietrze nie zważając na stojących na brzegu ludzi z harpunami. Przynosiłiśmy codziennie do domu po kilka okazów. Niektóre, chociaż złowione żywcem, cuchnęły tak okropnie, że nadawały się tylko na żarcie dla świń. Nad jeziorem spotykałem się z przynębionymi strażnikami granicznymi, z którymi wdawałem się w rozmowę. Milcząco kiwali głowami słuchając naszych optymistycznych wywodów na temat losów wojny. Kiedy wyraziłem chęć zgłoszenia się ochotniczo na front, jeden z nich powiedział: „Wojna nie skończy się prędko i wszyscy w niej weźmiemy udział, spieszyć się więc nie ma potrzeby”.

Z ust do ust przekazywano groźne wiadomości o działających w kraju dywersantach, o rozrzucaniu przez nich zatrutych cukierków i jabłek, o bombardowaniu wsi, ludności pracującej w polu, o nieuszanowaniu przez lotnictwo wroga znaków czerwonego krzyża. Byłem tymi wiadomościami tak przejęty, że bałem się spróbować jabłka leżącego pod drzewem. Dla kawału nieraz wybierałem najdozowniejsze jabłka i kładłem przy drodze, aby obserwować reakcję innych ludzi. Bywało różnie. Czasami ginęły po godzinie, a czasami przeleżały nietknięte kilka dni.

We wsi Szemiele, w domu dawnego gajowego, który ostatnio kupił 6-lampowy odbiornik radiowy firmy „Philips”, zaczęli się zbierać sąsiedzi dla wysłuchania wiadomości ze świata. Któregoś dnia wybraliśmy się i my, to jest Sławka, Ziućka, Ela, Zbyszek i ja. W obszernej izbie na krzesłach, ławach, na łózkach i na podłodze siedziało pełno mężczyzn, kobiet i dzieci i wsłuchiwało się w głos spikera radiowego. Milkły wtedy wszelkie rozmowy, które odżywały przy audycjach muzycznych. Zresztą audycje te były również przerywane jakimś tajemniczym wołaniem: „Uwaga, uwaga! Nadchodzi La – pu 31”. „Uwaga, uwaga! Przeszedł, La – pu 31”. „Nabuk Nabekar donosi, że Szary wrócił i nie zastał Wacława w domu”. Codziennie przemawiał pułkownik Roman Umiaszowski. Pamiętam jak nawoływał: „Żołnierze! Strzelajcie celnie, aby żadna kula nie poszła na marne!” Całą duszą przyznawałem mu rację i oburzał mnie widok uśmiechających się z politowaniem weteranów pierwszej wojny światowej. Często spiker apelował o zgaszenie światła na jakiejś ulicy w Warszawie lub Wilnie, prosił kierowców, aby na szosach w nocy nie świecili reflektorami, ponieważ lotnicy niemieccy orientują się w ten sposób w położeniu miast. Namawiał do zaklejania paskami papieru szyb okiennych celem wzmocnienia ich przed podmuchem wybuchu.

Wiadomości z frontu były sprzeczne. Warszawa podawała o odpieraniu niemieckich ataków na całym froncie, o ciężkich stratach zadawanych nieprzyjacielowi, o gigantycznych walkach w rejonie Kutna i Lwowa. Tymczasem radiostacja niemiecka z Wrocławia w swoich audycjach w języku polskim mówiła, że żaden cud nie uratuje Polski przed rozgromieniem.

Dnia 17 września 1939 roku nadeszła dodatkowa straszna wiadomość o przekroczeniu wschodniej granicy kraju przez Armię Czerwoną. W pierwszym momencie ludzono się nadzieją, że Rosjanie idą z pomocą walczącemu narodowi polskiemu. Rozwiała się ona, gdy z Mińska nadano przemówienie komisarza ludowego do spraw zagranicznych ZSRR W. Mołotowa, w którym wyrażał radość ze zniszczenia bękarta wersalskiego. W pełnych nienawiści do Polski słowach uzasadniał powody, które skłoniły Rosję do złamania traktatu o nieagresji. Byliśmy jak zwykle w Szemielach przy słuchaniu radia. Siedzieliśmy smutni i zgnębieni. Niezwykle tylko podniecenie okazywał Waśka Hołub. Warszawa milczała. Katowice i Kraków nadawały po niemiecku. Audycja w polskim języku transmitowana była

tylko przez Wilno i Wrocław. Nie pamiętam którego to było dnia, kiedy słuchaliśmy najbardziej smutnej i tragicznej audycji w życiu. Wrocław nadał tak zwaną „modlitwę Niemca”, której słowa pasowały raczej do modlitwy szatana. „Boże, daj zniszczyć nienawistne plemię polskie, niech miecz germański zanurzy się we krwi polskiej” itp. Pomruk przerażenia i niedowierzania przeszedł przez wszystkich zebranych. Każdy jednak przyjął te słowa jako złośliwą i prostacką formę dokuczania przeciwnikowi. Młody gospodarz przekręcił gałkę aparatu na Wilno, z którego nadano natychmiastową odpowiedź. Przed chwilą – mówiło Wilno – z Wrocławia została nadana audycja zwana modlitwą Niemca. Treść tej modlitwy nie wymaga komentarzy. Świadczy ona o tym, kim są Niemcy. Ze swej strony musimy się modlić: Boże! Przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią. Ukarz ich za miasta zburzone, za wioski spalone, za ludność pomordowaną, lecz w końcu wybacz im”. Dalsza audycja została gwałtownie przerwana. W izbie słychać było szloch kobiet. Mimo kręcenia gałkami nie udało się wywołać dźwięku polskiej mowy. Zakończyła się ostatnia audycja w języku polskim nadawana z naszej ziemi. W poszukiwaniu tej mowy przekręcano gałkę na Baranowicze, lecz z tej stacji bluznęła ordynarna mowa nieznanego jeszcze dokładnie wroga ze wschodu. „Krasnaja armia przyniesła zapadnoej Białarusii kulturę i szczęście” – zachłystywał się jakiś sowiecki spiker. Ziutka buchnęła płaczem, ja z Elą skamienieliśmy z przerażenia. Nie słyszałem o czym mówiono, nie zwracałem uwagi na Waśkę, który wyskoczył na środek izby z okrzykiem: „nasrać mogę na Polskę, kiedy słyszę swój ojczysty język”. Szalał z radości używając najohydniejszych słów pod adresem wszystkiego co polskie. Gospodarz tymczasem nadal kręcił gałkami odbiornika, aż raptem z Paryża zagrzmiały dźwięki Mazurka Dąbrowskiego. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Niektórzy poderwali się na baczność, tylko Waśka jakoś skurczył w sobie i zmalął. Teraz jaz kolei nie mogłem powstrzymać płynących z oczu łez.

Do domu wracaliśmy smutni i przygnębieni, jedynie Pirtań Józef ojciec Janka, Waśka oraz kilka osób toczyło ożywioną rozmowę. Waśka kłął i wyśmiewał się z polskiej mowy, z polskich hasel patriotycznych, z wojska, ze szkół, z urzędów. Każde takie słowo odczuwałem jak ukłucie nożem w serce. Ani guzika nie oddamy, gadali Polacy, a teraz zabrano im nie tylko wszystkie guziki, ale nawet ostatnie portki, żeby tak kopnąć w dupę, aby się nigdy nie podnieśli – perorował bez przerwy Waśka. Nie pierwszy to raz rozebrano Polskę, a jednak powstała; tym razem też powstanie i znajdzie w sobie tyle siły, aby kopnąć w dupę tych, którzy na nią napadli – odezwałem się na słowa Waśki.

Podziałało to na Waśkę jak czerwona płachta na byka. Bez namysłu rzucił się z pięściami na mnie i smutny byłby dla mnie wynik tej rozmowy, gdyby nie Pirtań Józef i kilku innych mężczyzn, którzy schwycili go za ramiona i siłą zmusili do opamiętania się. Daj spokój Wasia, młode to i głupie, jeszcze dziecko i nie wie co gada. Waśka powoli się uspokoił i tylko spode łba spoglądał na mnie, jak pies na kota.

Następnego dnia czwórka wilnian tj. Sławka, Ziutka, Ela i Zbyszek z plecakami na ramionach odmaszerowała do Słobótki, aby się dostać na pociąg i wrócić do swego miasta. Dziewczęta dla wygody i być może dla bezpieczeństwa poucinały włosy i włożyły spodnie. Smutne to było rozstanie. Zrywała się ostatnia więź z polskim nastrojem, z językiem i duchem. Przypuszczałem, że większość chłopców nie odważy się odezwać po polsku, że z radością będzie witała bolszewików, od których spodziewała się spełnienia wszelkich swoich marzeń. Przypuszczenia te, na szczęście, okazały się całkowicie błędne.

Nowina nie rozbrzmiewała już naszym śmiechem i gwarem, a widok tych samych lesistych zakamarków, polanek, bagien, jeziora i łąk, na których tak przecież niedawno beztrudnie bawiliśmy się, przygniatał serce kamieniem smutku. Gdy zapytałem Łukiańskiego Heńka spotkanego na jednej z tych polanek, co nas czeka w najbliższej przyszłości, odpowiedział jednym tylko słowem – „bolszewizm”. Wyraz ten, którym straszono niegrzeczne dzieci, którego używano jako przekleństwa w czasie kłótni, nabierał namacalnych kształtów.

W dniu 21 września 1939 roku wracając z Nowiny po odprowadzeniu krów na pastwisko, spotkałem podnieconego z radości Józika Pirtania. Z przejęciem opowiedział mi, że wczoraj będąc w okolicy Drui spotkał żołnierzy rosyjskich. Jednemu z nich pożyczył na godzinę roweru, za co otrzymał rubla. Spojrzałem na trzymany w ręku banknot z sierpem i młotem. Ogarnęło mnie nie tyle przerażenie, ile obrzydzenie. Nie miałem pojęcia o wartości tego pieniądza. Nie miał pojęcia również i Józik. Ucieszyłem się tylko, gdy usłyszałem, że w Drui padło kilka strzałów i usiłowano spalić most na Drujce. Pirtań widząc malujące się na mojej twarzy uczucie, zaczął pocieszać: „Nie bierz tak bardzo do serca kłęski Polski. Nie było to znów takie mądre państwo, aby zasługiwało na jakąś pamięć. Trzeba na życie patrzeć realnie. A jeśli chodzi o bolszewików to nie taki diabeł straszny, jakim go malują”.

Nie dziwiłem się tym wypowiedziom, bowiem życie Pirtania nie było lekkie. Musiał dorabiać dorywczo, ponieważ dwa hektary byle jakiego gruntu nie dawały utrzymania. Poza tym jako kurnik³ należał do pogardzanej kasty ludności wiejskiej. Będąc w okresie rewolucji w Rosji przejęty był hasłami

³ Kutnik – chłop mieszkający kątem na skraju pola należącego do wsi, posiadający najwyżej dwa hektary gruntu. Osadzono ich po Powstaniu Styczniowym dla zwiększenia elementu prawosławnego i wrogiego Polsce.

bolszewickimi, które przemawiały szczególnie do ludzi biednych. Wszelkie zaś wiadomości o krwawym terrorze przyjmował jako fantastyczną polską propagandę.

Po południu tego dnia udałem się do nauczycielki – pani Decowskiej, aby pożyczyć jakąś książkę i porozmawiać o swoich uczuciach. Siedząc na ganku razem z panią Jabłońską, która z dwiema córeczkami zatrzymała się u swojej siostry Marii w Dumaryszkach IV, snuliśmy domysły na temat najbliższej przyszłości. Wracalem jakoś podniesiony na duchu, gdy raptem spotkany zapasznik Władzi rozwił moje nadzieje. Spojrzałem we wskazanym kierunku – tam gdzie stała strażnica. Na drodze widoczne były samochody z jakimś wojskiem. Tam są bolszewicy – powiedział – nareszcie dobierzemy się do skóry takim bogaczom i krwio pijom jak Bonifacy Krukowski. Długo jeszcze pomstował na różnych podobnych do Bonifacego „ciemężycieli”.

W takich okolicznościach po raz pierwszy w życiu ujrzałem na polskiej ziemi obce wojska, w których pokładali swoje nadzieje ludzie chcący się mścić na milionach „Bonifacych”. Owi „ciemężyciele” jeśli nie głodowali, to tylko dzięki temu, że pracowali ciężko całe dnie i nierzadko noce, dzięki temu, że byli światlejsi i kulturalniejsi od swoich „mścicieli”.

* * *

Od drewnianego krzyża stojącego naprzeciwko szkoły do drogi pod gajem, na której stały ciężarówka z czerwonoarmiejcami, odległość wynosiła około 800 metrów i dlatego trudno było zorientować się, jak byli ubrani i uzbrojeni. W miarę jednak zbliżania się do nich ogarniało zdumienie i rozbawienie. Sztywne jak manekiny siedziały postacie żołnierzy. Ubrane były w brudne, czarne, pikowane waciaki. Materiał, z którego były uszyte przypominał zasmoloną koldrę, rzuconą na podściółkę do budy dla psa. Przerzucona przez ramię parciana torba, z jakimi zwykle chodzili po wsiach żebracy, brudna zielona furazerka oraz trzymany w ręku karabin z długim ostrym bagnetem składały się na umundurowanie i uzbrojenie tych dziwacznych wojaków. Idąc leśną dróżką w stronę opuszczonej od kilku dni strażnicy spotkałem kilku wojskowych. Ci robili nieco lepsze wrażenie, jeśli chodzi o umundurowanie. Wyrzucone na spodnie długie, zielone koszule, dziwaczny kształt bryczesów, okrągła czapka z czerwonym otokiem, z zadartym fantazyjnie daszkiem i czerwoną gwiazdą z sierpem i młotem oraz brezentowe buty z cholewami wydawały się niemiłosiernie brzydkie i wstrętne. Przed strażnicą stał samochód pancerny i dwie tankietki ze skierowanymi na budynek lufami karabinów maszynowych, podczas gdy dzielni wojacy penetrowali każdy kąt szukając uzbrojonych polskich żołnierzy. Tymczasem podwórko przed domem zaczęło się zapelniać tłumem ciekawskich. Niektórzy z młodzieży przyjechali rowerami ubrani odświętnie, w lepszych marynarkach, w eleganckich butach, w czystych koszulach i w krawatach. Ich widok budził zdumienie czerwonoarmiejców, którego nie potrafili zataić mimo grobowego milczenia.

Po chwili tankietki i samochód pancerny z częścią wojska odjechały w stronę Plus, a przed domem nastąpiło ożywienie. Młody, liczący dwadzieścia parę lat dowódca zaczął udzielać odpowiedzi na liczne pytania. Używał dwóch zwrotów: „a jakże!” i „proszę bardzo!”. Gdy ktoś zapytał, czy w Rosji jest to lub tamto, padała odpowiedź: „a jakże!”, gdy natomiast pytano czy można będzie to lub tamto robić, tak czy inaczej postępować – odpowiedź brzmiała: „proszę bardzo!”. Gdy spytał „kim chciałbyś być młody człowieku?” – odpowiedziałem – „pisarzem, aby móc opisać wszystko na co się patrzy i co się przeżywa”. Zainteresowała ich trzymana przeze mnie książka A. Dumasa pt. „Madame de Maison Rouge”, którą przed godziną pożyczyłem od pani Decowskiej. Dziwili się, że wiejska młodzież w Polsce czyta takie książki, ale po chwili zaczęli przytaczać dane o niebywałym wzroście czytelnictwa w ZSRR. Niektórzy chłopcy, jak na przykład Tryszczyński lub brat kolegi Franka, Aleksander, wykazywali entuzjazm, jednak większość zadawała pytania dla samej tylko ciekawości. U niektórych widziało się na twarzy absolutną obojętność, a byli i tacy, którzy stawiali pytania podchwytliwe starając się zdemaskować kłamstwo i zachwiać wiarę niektórych osób w sowiecki raj.

Zwykli szeregowi żołnierze, zwani bejcami, siedzieli na ławie przed domem nie biorąc udziału w rozmowie. Ich chude, poźółkłe twarze wyrażały ogromne zmęczenie, a otepialego wzroku nie podnosili na rozmawiających. Nie przyjmowali z rąk wieśniaków ani papierosów, ani jabłek. Starali się nie odpowiadać na zadawane pytania, a przyciśnięci do muru kierowali rozpaczliwy wzrok na swego dowódcę, jakby czekając na radę jaką dać odpowiedź. W takiej kłopotliwej sytuacji wyręczał ich zwykle dowódca, a gdy dalsze pytania groziły wciągnięciem biedaków do niebezpiecznej dla nich rozmowy, zagonił ich wszystkich do środka budynku.

Powoli wszyscy ciekawscy zaczęli się rozchodzić, a z nimi również i ja. W domu opowiedziałem matce i ojcu o swoich wrażeniach. Mama słuchała ze smutkiem, a ojciec tylko mruknął: „znowu jakieś lichy przygnało tych Moskali!”

Na drugi dzień idąc na naszą Nowinę spotkałem oddział liczący około 60 tak samo ubranych żołnierzy, z tym, że na głowach mieli stalowe hełmy. Dodawał im to trochę bojowości, a jednocześnie śmieszyło, bo mimo woli przychodziło na myśl określenie: „żebracy w hełmach”. Idący za mną pięcio-

letni Winius Pirtań z wrażenia przewrócił się i zaczął płakać budząc śmiech wojaków, a mnie serce ścisnęło się z goryczy i żalu po cudownych dniach spędzonych na tym uroczym skrawku ziemi deptanym obecnie przez obce i nienawistne żołdactwo.

W południe ujrzeliśmy dwóch żołnierzy prowadzących pod bagnetem jakiegoś elegancko ubranego kolejarza, w którym mama z daleka poznała Stanisława Borowskiego z Wilna. Przyjechał szukać dzieci i w drodze zatrzymali go bolszewicy. Na strażnicy po sprawdzeniu tożsamości wypuszczono go. Byłem zmartwiony losem moich przyjaciół a mama długo się denerwowała na myśl, że młode dziewczęta mogły spotkać coś złego. Jak się później okazało dziewczęta ze Zbyszkciem dały sobie radę i szybko dotarły do Wilna, rozmijając się w drodze z ojcem i nie ponosząc żadnej szkody.

Współżycie mieszkańców wsi z nowymi lokatorami strażnicy granicznej układało się początkowo całkiem poprawnie. Dowódca i jego zastępcy byli grzeczni i na ogół kulturalni. We wsi kupowali siano i owies dla koni nie targując się wcale o cenę. Język, jakim rozmawiali był twardy i różnił się bardzo od mowy Moskali – staroobrzędowców. Szczycili się swoim nadwołżańskim pochodzeniem i w swojej wymowie podkreślali „o”. Nie mówili „Maskwa” lecz „Moskwa”. Co do mnie – nie wiedziałem jak się mówi prawidłowo, a wszystkich Rosjan widziałem jako pewną odmianę Waški lub starowierców, uważanych za moskiewskich szowinistów, koniokradów, ludzi złych, podstępnych, ciemnych i fanatycznie nienawidzących Polaków.

Ogólnie ciężki nastrój pogłębiał brak wiadomości o losach brata. Ojciec codziennie wróżył z kart, lecz mimo optymistycznych rezultatów tych wróżb mama nie przestawała popłakiwać. Każdy powrót znajomej osoby potęgował jej smutek. Któregoś dnia zjawił się Antoni i Piotr. Patrzyłem jak urzeczony na polskie mundury, które chociaż bez orłów i naramienników wydawały mi się najpiękniejszym strojem pod słońcem. Odprowadzaliśmy ich całą gromadą do domu, gdzie groźnym krzykiem „stój!” zatrzymał ich bolszewicki żołnierz. Dopiero dowódca strażnicy na widok płaczących sióstr kazał puścić wolno zatrzymanych chłopaków. Posypały się pytania: skąd wracają, gdzie się zetknęli z Armią Czerwoną, jak przebiegały walki na froncie itp. Na wieść o zajęciu przez bolszewików Lwowa twarz komandira rozpozodziła się całkowicie, a przybysze poczęstowani zostali nie cuchnącą machorką, zwaną koreszki (korzonki), lecz najprawdziwszymi papierosami. Na resztę pytań odpowiadali niezbyt chętnie, tłumacząc się silnym zmęczeniem. W następnym dniu wrócili Bronek i Michał. Ten ostatni był roztrzęsiony nerwowo i psychicznie. Obaj brali udział w obronie Lwowa. Opowiadali o zacieklej walkach o miasto, odpieraniu bezustannych ataków niemieckich, bohaterskiej postawie mieszkańców, którzy wspólnie z wojskiem nie wpuścili Niemców w swoje mury. Wszystko nadaremnie. Od północy wkroczyła Armia Czerwona i zagarnęła obrońców. Jak opowiadał Michał – nawet mały, bezdomny kundel przyłączył się do walczącej polskiej jednostki i nie opuszczał jej w złych i dobrych momentach, czołgając się wraz z żołnierzami na linii bojowej i kryjąc się tak samo jak ludzie przed atakami lotnictwa. Michał potwierdził opowiadania Antoniego i Piotra o potwornych zbrodniach, jakich się dopuszczali Ukraińcy. Pojedynczych żołnierzy polskich zarzynali jak zwierzęta lub mordowali w najokrutniejszy sposób. Mordowano również mniejsze bezbronne grupki, przeważnie w czasie snu. Skóra cierpła z przerażenia i grozy na wieść o tym. Z zapartym tchem słuchałem opowiadań Michała o krótkich potyczkach, jakie stoczyła jego jednostka z bolszewikami. Jedna polska kompania potrafiła powstrzymać przez dłuższy czas całą sowiecką brygadę. Doszedłem do wniosku, że bolszewicy jako żołnierze są licha warci, a swoje sukcesy osiągają jedynie dzięki masie ludzkiej i licznemu, choć nie najlepszemu sprzętowi bojowemu.

Prawie codziennie ktoś wracał z niefortunnej wojny przynosząc smutne wiadomości o kłęsce, o ukraińskich oddziałach morderców, o bestialstwach niemieckich, o mordowaniu nawet wziętych do niewoli jeńców. Wieści te przygnębiały mnie coraz bardziej, nie mówiąc o matce.

Jabłonie i grusze tego roku uginały się pod ciężarem owoców. Któregoś wieczora zebrała się u mnie znowu gromadka kolegów: Janek Pirtań, Piotr i Józik Szakielowie. Do późnej nocy rozmawialiśmy na temat ostatnich wypadków, a następnie po ciemku zbieraliśmy, wymacując nogami, leżące pod drzewami dojrzałe jabłka. Na tej czynności zastało nas trzech czerwonoarmistów. Nie pomogły żadne tłumaczenia. Całą grupę przyprowadzili do domu, gdzie dopiero po stwierdzeniu prawdziwości naszych tłumaczeń dali nam spokój. W izbie paliło się łuczywo, ponieważ brakło już nafty, zresztą tak jak soli, mydła i innych artykułów. Widząc to dowódca grupy żołnierzy zaczął: podśpiewywać starą piosenkę, którą nieraz nuciła moja mama:

Izwiela mienia kruczina
Padkałodnaja zmieja.
Dagariaj maja łuczina,
Dagariu s taboj i ja.

Romantyczny nastrój przysł, gdy rozmowa nabrała politycznego charakteru. Żołnierze zaczęli zachwycać się wspaniałomyślnością sowieckiej władzy, która przyniosła nam upragnioną wolność. Nie mogłem zrozumieć – czy ci ludzie bezczelnie kpią czy rzeczywiście mają tak wypaczone pojęcia, iż sami wierzą w te brednie.

Wizyty czerwonooarmiejców odbywały się prawie codziennie. Najpierw otwierały się drzwi i do izby wsuwał się długi bagnet, za nim ukazywała się olbrzymia czapka budionówka, zwana przez nas piorunochronem, a dopiero później włąziła brudna, cuchnąca postać bolszewickiego wojaka. Podczas krótkiej rozmowy stali pośrodku izby świdrując niespokojnymi oczyma po wszystkich kątach. Jeden z nich starał się raz pocieszać płaczącą mamę: „Nie płacz mamasza, wróci twój syn i znów będzie wesoło, będzie nawet młodzież przy harmonii śpiewać wesołe pieśni”. Nie przyznawałem mu co prawda racji, że dla naszej młodzieży wystarczy do szczęścia harmoszka, ale byłem wdzięczny za życzliwość.

Można powiedzieć, że żołnierze radzieccy, z którymi się wtedy zetknęliśmy, nie byli źli. Większość z nich była śmiertelnie zestrachana i unikała wszelkich rozmów.

Stale dręczyło mnie pragnienie powrotu do gimnazjum. W końcu rodzice zdecydowali, że mam znówu podjąć naukę. Mając ich zezwolenie wybrałem się do urzędu gminnego w Plussach, aby otrzymać zwolnienie z opłat. We wsi Apanasiszki II, zwanej Kondrasze, zastąpili mi drogę Moskaletarowiercy i kazali zdjąć z czapki polskiego orła. Nie tyle się przestraszyłem ile zdziwiłem, bo nie rozumiałem o co im chodzi. Chodziło o znaczek szkolny przedstawiający płonący kaganek na tle otwartej książki. Mimo przekonania się o swojej pomyłce byli nieubłagani i kazali usunąć znaczek ze względu na jego polskie pochodzenie. Smutny i przygnębiony przyszedłem do Pluss. W gminie panował brud i chaos. Brodaci Moskale siedzieli za stołami, palili cuchnącą machorkę i pluli na podłogę. Jakaś kobieta rozmawiała z rudym Moskałem o Marksie wyrażając głośno zachwyt nad mądrością tego genialnego człowieka. Znany przed wojną ze swych prokomunistycznych sympatii Adolf Staszan, pełniący w gminie rolę tymczasowego wójta, wydał mi polecające pisemko, z którym wymknąłem się szybko z tej stęchłej i obrzydliwej atmosfery.

Na ulicy spotkałem Piotрка Jurana, kolegę z lat szkolnych w Plussach i Brasławiu. Ucieszył mnie widok jego gimnazjalnego mundurka. Jak się okazało on doznał również takiego samego uczucia widząc w mnie. Rozmawiając ruszyliśmy spacerkiem w stronę domu kultury. Po obu stronach ulicy stały wozy taborowe, samochody ciężarowe i kuchnie polowe, między którymi snuły się szare postacie krasnoarmiejców. Na kamieniu stał patefon, z którego wydobywały się przeraźliwie głośne dźwięki melodii rosyjskiej pieśni ludowej. Wokół niego zgromadziła się grupa odświętnie ubranych starowierców. Widząc ich wrogie spojrzenia nie zatrzymywaliśmy się dłużej w tym miejscu. Zresztą rozmowy prowadzone z krasnoarmiejcami wyglądały podobnie jak w Dumaryszkach. Na każde pytanie odpowiadali: „proszę bardzo!”, „a jakże?!” Piotrek przy tej okazji opowiedział o powitaniu bolszewików w Plussach. Tłum starowierców z Ostrowit, Krasnogórki, Ławnik i innych wsi zgromadzony przy naprędcie zbudowanej bramie triumfalnej na widok jadących czołgów dostał ataku hysterii. Wszystko to wyło i ryczało z radości, prześcigało się w wyszukiwaniu najordynarniejszych wyzwisk pod adresem wszystkiego co polskie. Biada Polakowi, który powodując się sympatią do bolszewików, ze względu na komunistyczne poglądy, chciał znaleźć się w grupie witających. Został zelżony, opluty i odepchnięty. Nie mogłem zrozumieć przyczyny takiego zachowania. Skąd u tego narodu taka nienawiść do Polaków? Polska traktowała ich jednakowo, dała im oświatę, zapewniła im swobodę wyznania, za co byli w Rosji prześladowani, nie utrudniała rozwoju działalności gospodarczej, pomagała w poszukiwaniu zarobku w kraju i na Łotwie. Czyżby istniały jakieś wrodzone cechy rasowe zmuszające narody do ciągłej nienawiści?

Mimo tego, co w tym dniu słyszałem i widziałem wróciłem do domu z pewną dozą optymizmu. Przyczyniła się do tego rozmowa z Piotrkim, który ze wszystkiego po prostu kpił.

Następnego dnia pani Helena Krukowska – matka mojej serdecznej koleżanki Werci – odwiozła nas oboje do Brasławia. Od jezior dolatywał charakterystyczny zapach jesieni, przywodzący na myśl szczęśliwy okres sprzed roku. Tym razem było smutno i oboje byliśmy przygnębieni. Wercia zamieszkała na ulicy Zamkowej. Ja zostałem przyjęty przez państwa Gryżewskich. Gdy pokazałem dyrektorowi Doboszowi pisemko z gminy, ten burknął tylko, że nie jest to wcale do szczęścia potrzebne, bo dla mnie szkoła zawsze stała otworem.

Brasław i nasze gimnazjum zmieniły swój wygląd nie do poznania. Miasteczko zrobiło się brzydkie, brudne i smutne. Sklepy na ogół świeciły pustkami. W oknach wystawowych leżały tylko stosy jabłek, których cena rosła z dnia na dzień. Nad jeziorem obok szosy prowadzącej w kierunku Rackiego Boru obozowały wojska sowieckie. Drugi taki obóz mieścił się na podmokłej łące wśród kęp wikliny przy ulicy Kolejowej. Po ulicach włóczyło się pełno różnego stopnia dowódców czerwonej armii, a nade wszystko uderzał widok całej masy Żydów, która wyległa na ulice. Tłumy żydowskich wyrostków wiwatując na cześć czerwonej armii ubliżały przy każdej okazji Polsce. Nierzadko nakazywano spotkanym Polakom zejść z chodnika i wysłuchać przy okazji podanej w obelżywy sposób informacji o końcu ich panowania. „Minęły wasze rządy! Nastaly rządy nasze! – takie powiedzonka można było usłyszeć przy lada okazji. Przed piekarniami i niektórymi sklepami codziennie ustawiały się długie kolejki po chleb. Towaru było zwykle za mało w stosunku do potrzeb, dlatego miejsce w kolejce należało zająć na kilka godzin przed otwarciem sklepu. Porządku pilnowali Żydzi z czerwoną opaską na ramieniu, uzbrojeni w karabiny. Ze ścian zrywano polskie plakaty wojenne oraz wszelkiego rodzaju tablice i napisy. Na

szybach jeszcze widoczne były naklejone na krzyż paski papieru, które miały je chronić przed zniszczeniem wskutek podmuchu bomb lotniczych. Wszystko to przygnębiało i napełniało pesymizmem. Pan Grzyzewski, słusznie podejrzewany przed wojną o komunistyczne ciągoty, stale nas ostrzegał, abyśmy trzymali język za zębami. Nie klócić się z Żydami, nie afiszować się polskością, nie wdawać w rozmowy z Rosjanami – to były jego rady. Wprawdzie słuszne, ale niemożliwe do zastosowania. Przeciwno temu co się działo buntowała się cała natura.

U państwa Gryzewskich, w pokoiku zajmowanym dawniej przez sympatycznego i wesołego pana Adamowicza, zamieszkiwali różni funkcjonariusze – przybysze ze wschodu oraz osoby pochodzenia miejscowego. Ludzie ci znacznie różnili się między sobą. Rosjanie ze wschodu byli święcie przekonani, że nas uszczęśliwili, że przez dwadzieścia lat o niczym innym nie marzyliśmy, jak tylko o wyzwoleniu przez Armię Czerwoną. Byli nieświadomi stosunków panujących w Polsce przed wojną i wiele rzeczy, z którymi się spotkali po prostu dziwiło ich. Często kłóciliśmy się ze sobą, skakaliśmy sobie do oczu przy roztrząsaniu szczególnie drażliwej sprawy. Jakaś umundurowana kobieta – lekarz wojskowy – na przykładzie wyrazu „Europa” chciała nam udowodnić, że język polski jest brzydki. „Co to za eu! Brzydki i wykoślawiony dźwięk. Słowo „Jewropa” to dopiero brzmi pięknie!” Z kolei my, to znaczy Zenek Gryzewski, jego siostra Wiła i ja, przyczepialiśmy się do jakiegoś rosyjskiego wyrazu i w ten sposób kłótnia prawie nigdy nie gasła. Jednego dnia przyniosła z apteki buteleczkę balsamu kapucyńskiego, jako dowód rzeczowy na niski poziom polskiej farmacji. „Kto to widział – mówiła – aby w normalnej aptece sprzedawano średniowieczne mikstury! Czyż to nie jest dowód zacofania i ciemnoty? Księża i popi sporządzali balsamy, a apteki zmuszone były do sprzedawania tego szarłataństwa!” Byliśmy tym pognębieni, bo nie mogliśmy znaleźć żadnych przekonujących argumentów na odparcie zarzutu.

Kobieta ta w gruncie rzeczy nie była złym człowiekiem. Widząc moją ciężką sytuację materialną napisała piękne podanie do jakichś tymczasowych władz i kazała z tym udać się pod wskazany adres. Tam jednak orzekli, że jako syn średniaka, który się chwiewie raz w stronę biedniaka, a raz w stronę kulaka, nie zasługuję na żadną pomoc. Gdy się o tym dowiedziała była nie mniej zmartwiona niż ja i kłęła pod nosem na wszystkich bezdusznych biurokratów.

W pokoiku o oddzielnym wejściu zamieszkał jakiś wesoły politruk. Stale się z nim kłóciłem, lecz on nigdy się nie zaperzał jak inni. Nazywał mnie komisarzem. „No komisarzu – zaczął mnie w korytarzu – co nowego na świecie? Czy stale jeszcze wierzysz w powrót Polaków?”. „Tak, wierzę!” – odpowiadałem. „Długo będziesz czekał, aż ci broda urośnie” – oświadczał z kpiącą miną. Zapraszał mnie i Zenka do siebie, gdzie wspólnie wycinaliśmy zdjęcia rozneglizowanych aktorek z ilustrowanych przedwojennych tygodników „Kino” i „Na szerokim świecie”. Zdjęcia te naklejał następnie na duże arkusze papieru i wieszał na ścianie. Wszystkie ściany były upstrzone tego rodzaju ozdobami.

Jednego wieczoru zaprosił nas, to jest Wilę, Zenka i mnie na audycję radiową. Przyniósł bowiem nowy aparat, prawdopodobnie zrabowany w jakimś polskim domu i postanowił nas zabawić muzyką. Był to akurat początek grudnia. Od kilku dni toczyły się walki na froncie sowiecko-fińskim. Wszyscy byli tą wojną zainteresowani. My – pełni byliśmy szacunku i uznania do narodu fińskiego, który postanowił bronić zbrojnie swej niepodległości. Rosjanie natomiast słuchali informacji ze zdumieniem i lękiem, aby ich z wygodnych legowisk nie wygnano na zimny i przerażający front. Nasz sąsiad – politruk – był uosobieniem tych uczuć. Imponowało mu, że Związek Radziecki stał się taki „sławny”, że przez radio we wszystkich językach powtarzała się jego nazwa. Kręcił przed nami gałką aparatu i stale powtarzał: „Słuchajcie, o nas mówią! I ci nami się interesują... I ci też!” Pewnego razu buchnęła z głośnika melodia znanego marsza lotników polskich: „Lotnik bez granic, władca świata przestworzy – ze śmierci kpi”. Na dźwięk tej pieśni z wrażenia wstrzymaliśmy oddech. Widząc nasz zachwyt politruk zatrzymał gałkę. „Rzeczywiście ładna melodia, warto posłuchać”. Dopiero, gdy we troje zaczęliśmy śpiewać wraz z dalekim Paryżem znaną nam pieśń, politruk aż usta otworzył ze zdziwienia. „To polska pieśń?”. „Tak, to jest hymn lotników”. „A to ci heca!” – wykrzyknął zdumiony. To wasza sprawa jest również głośna! W kilka dni później wyprowadził się i nie spotkałem go nigdy więcej. Być może wyjechał nawet na fiński front. Był podobno pracownikiem NKWD, lecz w żarliwość jego politycznych przekonań można było wątpić. Na jego miejsce wprowadziło się wojskowe małżeństwo. On – lejtnant Minajew, ona – kolchoźnica awansowana do roli żony komahdira oraz dwuletni synek na początkowym etapie mowy. Towarzysz Minajew był typowym bolszewikiem – ograniczonym żołdakiem. Żona natomiast nie miała żadnych poglądów. Zapatrzona w męża jak w słońce, żyła jego wizjami i marzeniami. W długie wieczory siadywał przy rozgrzanym piecyku, wodził palcem po rozłożonej mapie Europy i głośno komentował. Oto przy pomocy zaprzyjaźnionych Niemiec opanują całą Europę, a następnie osłabione wojną Niemcy poddadzą się bez sprzeciwu Związkowi Radzieckiemu i od Gibraltaru aż po Ural będą same tylko republiki radzieckie. Pani Minajewa klaskała z zachwytu nad mądrością męża, ciesząc się głośno i szczerze ze szczęścia, jakim Związek Radziecki obdarzy Europę. Nie dzielając tych poglądów i mszcząc się za to, że w radzieckiej Europie towarzysz Minajew dla Polski przeznaczył tylko rolę autonomicznej a nie związkowej republiki, obaj z Zenkiem zaczęliśmy intensywnie uczyć modlitwy

młodą latorośl Minajewych. Po dwóch tygodniach dało się zauważyć efekt naszych wysiłków, bo dzieciak całkiem poprawnie się żegnał i nieźle odmawiał „Ojcie Nasz”.

Innego typu ludźmi byli lokatorzy miejscowego pochodzenia. Cechowała ich większa bezsprzecznie znajomość spraw miejscowych, ale jednocześnie większa wiara w komunistyczne ideały. Dla przybyszów ze wschodu podstawowym obiektem podziwu i uwielbienia było państwo radzieckie, a właściwie – komunistyczna Rosja, a nie bolszewickie ideały. Działacze miejscowi, z jakimi się wtedy stykałem, zachwycali się perspektywami rozwoju narodu białoruskiego zgodnie z założeniami marksizmu-leninizmu. Jeden z nich, przygotowujący się do zawodu nauczyciela języka białoruskiego, przechowywał w pokoju swój pamiętnik – pisany oczywiście po polsku – który z Wilą przestudiowaliśmy od deski do deski. Obok miłosnych zwierzeń, w których najbardziej gustowała Wfla, często przewijały się w nim poglądy polityczne. Największym wrogiem świata pracy był kler katolicki, a ucieleśnieniem najwyższych ideałów – Rosja Radziecka.

Drugim podobnym lokatorem był fanatyczny komunistą – pracownik NKWD. Wszelka dyskusja z nim nie była możliwa. Nienawidził Polski z całej duszy. Budził strach i obrzydzenie nie tylko wśród nas, ale także Rosjan. Z ulgą odetchnęliśmy, gdy się wyprowadził.

Jednego dnia zapukał do drzwi jakiś nowy gość, a gdy otworzyliśmy – prawie wszyscy wykrzyknęliśmy z radości. Był to dawny współlokator, pan Adamowicz. Wszedł kulejąc na jedną nogę i jak zwykle witając się z panią Gryżewską wydał dźwięk: „noouuu!”, co według ustalonego zwyczaju miało oznaczać: „jak się czujesz? Co nowego?”. Zасыpywaliśmy go pytaniami, na które starał się odpowiedzieć w sposób zaspokajający naszą ciekawość. Na wojnie został ranny i dostał się do niewoli sowieckiej. Trzymali ich w dużym obozie w Kozielsku koło Smoleńska. Gdy po długotrwałych badaniach przekonali się, że nie jest oficerem, zwolniony został do domu. Na pytanie pani Gryżewskiej jak ta Rosja naprawdę wygląda, odpowiedział ze śmiechem, że kraj cudny, bo spotkać tam można:

*rzeki miodem płynące,
kupy masła rosnące,
a na drzewach lakierki
zawinięte w papierki kolorowe.*

„Pan jak zwykle jest pełen humoru” – roześmiała się pani Gryżewską.

Smutno było się z nim rozstawać, bo do ponurej atmosfery, jaka nas otaczała, wniósł promień pogody, humoru i nadziei.

Kilka dni później doczekałem się nareszcie najbardziej upragnionej wizyty, o której marzyłem bez przerwy. Był szary grudniowy dzień, gdy ktoś zastukał do drzwi wejściowych. Pani Gryżewską wyszła do sionki, aby je otworzyć, a my nie zwracając uwagi prowadziliśmy jakąś ożywioną rozmowę. Dopiero wołanie gospodyni poderwało mnie. Szybko się odwróciłem i ujrzałem panią Gryżewską obejmującą z płaczem jakiegoś ubranego w polski wojskowy płaszcz młodego człowieka. Był to mój brat Józef. Stał przede mną z opaloną i wymizerowaną twarzą, żywy i zdrowy, z dawną wyczekiwany brat. Tak jak pana Adamowicza zasypano go gradem pytań. Jego przygody różniły się nieco od przygód wielu znajomych osób. Walczył nad Narwią i Bugiem, dostał się do niewoli niemieckiej pod Kałuszynem. Po krótkim pobycie w obozie jenieckim koło Królewca przewieziony został do robót w majątku rolnym w okolicy Elku, skąd uciekł przez granicę do strefy sowieckiej i szczęśliwie przedostał się do domu. Zapomniałem w tej chwili o ciężkiej i przygnębiającej atmosferze niewoli, bo byłem szczęśliwy, że brat po tak ciężkich tarapatach wrócił jako bohater i że skończyły się łzy matki i smutek ojca. A kiedy Józef pożegnał się z całym towarzystwem i wyszedł ze mną na ulicę, nie przygnębiał mnie już tak bardzo widok umundurowanych bolszewików. Spokojnie słuchałem jego objaśnień na temat znaczenia czerwonych trójkątów i prostokątów na kołnierzach czerwoarmiejców. „Są to dystynkcje oznaczające stopień dowódców, odpowiadające stopniom podoficerów i oficerów w pozostałych armiach świata”. Szczególną uwagę zwrócił na polityków. „Politycy – mówili – utrzymują w posłuszeństwie całą kompanię. Korzystając z donosicielstwa śledzą każdy krok szeregowych i dowódcy liniowego. Wszystko oparte jest na ustawicznym strachu, na podejrzaniach. W czasie pokoju system ten zdaje egzamin, lecz w czasie wojny zawiedzie. Jedynie może nie zawieść w wypadku wojny z Niemcami”. „Dlaczego?”, „Bo Niemcy nie pragną pozyskać żadnego narodu. Oni nie walczą z państwami, lecz z narodami”. „Czy dojdzie do wojny z Niemcami?” – zapytałem. „Trudno powiedzieć – odparł brat. – Przed rokiem Niemcy uważali Rosję za wroga numer jeden, a Rosjanie podobnie Niemców. Dzisiaj wszystko jest inaczej. Będąc w Niemczech widziałem plakaty i gazety mówiące o wspólnych celach i nienaruszonej przyjaźni. Tutaj widzi się i słyszy podobne hasła. Zdrowy rozsądek jednak nie pozwala wierzyć, bo zarówno jedni, jak i drudzy dążą do opanowania świata, który jest tylko jeden. Zresztą na wiosnę ruszy potężna ofensywa francusko-angielska i Niemcy skapitulują”. Uspokojony pożegnałem się z bratem i wróciłem na swoją stację.

Idąc raz dawną ulicą Piłsudskiego spotkałem Zbysię Stankówną. Byłem zaciekawiony jej poglądami na obecną sytuację. Niegdyś w Plussach, mieszkając razem na stacji, wiedliśmy zaciekle spory

polityczne. Ona, jako córka nauczyciela z Krasnogórki, chełpiła się walką Związku Nauczycielstwa Polskiego z rządem sanacyjnym, a ja jej wymyślałem przy tym od komunistów. Tym bardziej byłem zdumiony, gdy na widok grupy Żydów wciskających przechodniom do rąk gazety odezwała się: „nie bierz tego paskudztwa!”.

– Myślałem, że jesteś szczęśliwa – odezwałem się.

– Z czego?

– Z bolszewików.

– Zwariowałaś! – wybuchnęła Zbysia. – Z tych brudasów? Musisz nauczyć się odróżniać komunizm od socjalizmu.

Przyjaźniłem się nadal z Ryśkiem Szakielem, do którego chodziłem na pogawędkę. Wspominaliśmy dawne dobre czasy i marzyliśmy o wolnej Polsce. Uczono mnie przy tym gry w tysiąca, ale z miernym skutkiem. Często przychodził do mnie Broniek Kasperowicz – wysoki i chudy chłopak, syn inwalidy. Ojciec jego podobno przed wojną otrzymał jakiś zasiłek pieniężny z Rosji, jako rekompensatę za utratę zdrowia w czasie rewolucji bolszewickiej. Nic więc dziwnego, że wyczekiwał przyjscia swoich dobroczyńców. Ci natomiast z chwilą „oswobodzenia” swego zasłużonego bohatera przestali mu płacić, co wywołało jego zrozumiałe rozgoryczenie. Broniek nigdy nie podzielał zapatrywań ojca, dlatego też nie doznał z tego powodu żadnego rozczarowania.

Czasami zaglądałem do Werci na ulicę Zamkową. W dużym pokoju, w którym dawniej przebywały dziewczęta, mieszkała teraz jakaś kobieta ze Śląska. Oderwana od swojej rodziny w warunkach dla niej bardziej obcych niż dla nas, przedstawiała obraz kompletnie załamanego człowieka. Wszczęła starania o wyjazd do Niemiec motywując tym, że jest Niemką. Nam z płaczem mówiła, że nigdy Niemką nie była i teraz się nią nie czuje, ale chce za wszelką cenę wyrwać się z tego barbarzyńskiego piekła. Nigdy się nie dowiedziałem o dalszych jej losach.

Jak nigdy przedtem zaczął mnie Janek Łapiński. W rozmowach jego ze mną przebijała radość z powodu nowej sytuacji i zachwyty nad wszystkim co sowieckie. Ciągnął mnie na filmy wyświetlane pod gołym niebem, gdzie głośno wyrażał zachwyty nad władzą i sztuką radziecką. Zachwyty ten był wyrażany tym głośniejszym, im większa liczba Żydów znajdowała się w pobliżu. Byłem święcie przekonany, że podobnie jak Piotrek Juran kpi i stara się podtrzymać siebie na duchu, więc nie mogłem zrozumieć, dlaczego nawet gdy byliśmy tylko we dwóch powtarzał te brednie. Na moje uwagi odpowiedział: „trzeba być praktycznym”. Było to tym bardziej dziwne, że w pamięci miałem moment, gdy przed trzema miesiącami kopnął nogą Żydziaka z krzykiem: „Geh weg parszywy Żydzie”.

W szkole nie było dawnego humoru i dawnej radości. Większość nauczycieli stanowiła przedwojenna polska kadra. Nie było jednak dobrego i sympatycznego pana Maćkowiaka, nie było również oschłej pani Choynowskiej i tęgawej pani Kopytowej. Nadal dyrektorem był nielubiany Henryk Dobosz, zwany Mandarynem Suchą Szczęką. Wróciła po urlopie macierzyńskim cicha i sympatyczna pani Stodulska. Łaciny uczył w dalszym ciągu pan Tomaszewicz, języka niemieckiego pan Kurt Zulke, a religii – ksiądz Szubzda. Na miejsce niektórych dawnych nauczycieli przyszli profesorowie gimnazjum w Dru. Jednym z nich był polonista pan Wójcik. Miny jakie stroił w czasie wykładów, szczególnie gdy się przejął treścią, budziły śmiech. Wydymał policzki, komicznie obracał oczami, a słowa wylatywały mu z ust jak pociski. Otrzymał od nas przezwisko „Atramencik – Momencik”. Wprowadzony od niedawna język rosyjski wykladała siwa i kulturalna pani – córka miejscowego popa. Nazywaliśmy ją „Martyszka i oczki” – od tytułu wiersza, jakiego nas uczyła i okularów, które nosiła. Bezskutecznie starała się wzbudzić w nas zainteresowanie do literatury rosyjskiej. Dziwiła się z jawnie okazywanej przez nas niechęci do tego przedmiotu. My z kolei dziwiliśmy się, że ktoś w ogóle może lubić język i kulturę narodu, który nie uznawał praw innych.

Lekcje odbywały się po dawnemu – po polsku i według starego programu. Wszyscy jednak nauczyciele chodzili na kurs języka rosyjskiego. Oprócz tego w budynku naszego gimnazjum odbywał się kurs dla nauczycieli szkół podstawowych. Między nimi spotkałem pana Jana Cytowicza, byłego pracownika urzędu gminnego w Plussach. Jak zwykle rozmawiał uprzejmie, ale jakoś bardziej oficjalnie niż dawniej.

Jednego dnia wszedł na lekcję jakiś młody chłopak w ładnym i zgrabnym mundurze polskiego żołnierza. Z początku nie poznałem, że jest to Jacek Kandybo, któremu udało się zaciągnąć na ochotnika do wojska. Witając się z nami trząsał przepisowo obcasami, a my ściskaliśmy mu dłoń z szacunkiem i podziwem. Był przecież naszym bohaterem, naszym rówieśnikiem, który wziął bezpośredni udział w wojnie. Ostatnio przebywał na Litwie pracując jako kierowca samochodu na linii Wilno-Kowno. Przed kilkoma dniami przekradł się przez granicę i wrócił do domu.

W piecach szkolnych palono bardzo rzadko, więc sale wykładowe były zimne i tym samym nieprzytulne. Z postępowaniem zimy robiło się coraz chłodniej, aż któregoś dnia doszło do dwóch tylko stopni powyżej zera. Siedzieliśmy w płaszczach i rękawiczkach trzęsąc się i niewiele zważając na treść przerabianego przedmiotu.

Budynek szkolny nie uległ żadnej zmianie, z tym że uruchomiony hydrofor dostarczał czystej wody z ukrytej obok studni głębinowej. Pokryte rowami przeciwlotniczymi zbocze wzgórza przed szkołą wyrównano, zacierając w ten sposób ślad ostatniej wojny.

Na przerwach rozmawiano tylko o przyszłym zwycięstwie. Każdy był pewien niemieckiej klęski, która miała nastąpić na wiosnę przyszłego roku. Zwycięska armia francuska i angielska wkroczy do Polski, a Rosjanie zmuszeni będą do zwrotu zagrabionych ziem. Władzę radziecką uważaliśmy za przykry sen, który zniknie z nadejściem wiosny.

Tymczasem ten „sen” dawał się coraz bardziej we znaki. Codziennie odbywały się aresztowania pracowników dawnej Policji, administracji państwowej, wodnej, leśnej, osób należących do „Strzelca”, „Harcerstwa” itp., współpracujących z wojskiem, z KOP-em lub organami polityczno-oświatowymi, ochotników z lat 1919-20. Objęły one również osadników wojskowych, oficerów i podoficerów rezerwy, działaczy stronnictw politycznych i związkowych, osoby wykazujące nieprzychylny stosunek do Żydów lub nawet o taki stosunek podejrzane. Żydów otoczono szczególną ochroną prawną. Za samo słowo „Żyd” wypowiedziane w czasie rozmowy po rosyjsku groziła kara więzienia. Należało mówić „Jewrej”, ale ten z kolei wyraz w konwersacji po polsku uznawano za obelgę grożącą karą więzienia. Jednym słowem nikt nie mógł być pewnym swego losu, a każde wezwanie do NKWD równało się z aresztowaniem. Piękna dzielnica urzędnicza, składająca się z kilku murowanych i krytych czerwoną dachówką domów, stała się postrachem mieszkańców Brasławia i całego powiatu. W najładniejszym budynku urzędowało NKWD. Było to miejsce łez i kaźni setek Polaków. Wszystkie piwnice, zwane podwałami, wypełnione zostały więźniami. Do małych cel tłoczono dziesiątki osób. Było tak ciasno, że część z nich musiała stać, aby druga część mogła położyć się na gołej podłodze i usnąć. Takiego snu nie można było wcale nazwać wypoczynkiem, ponieważ przewrócić się na drugi bok można było tylko jednocześnie, a ciężki zaduch dusił ludzi cierpiących na wadę serca lub płuc. W nocy wzywano na przesłuchania i przy dźwiękach głośno grającego radia, zagłuszającego krzyki torturowanej ofiary, wymuszano potrzebne zeznania. Mimo głębokiej tajemnicy wiadomości te przedostawały się z głębi podwałów sięjąc przerażenie i nienawiść. Niespotykany w języku białorusko-polskim wraz „podwał” nabral straszliwego znaczenia.

Przez okna szkoły w czasie lekcji oglądaliśmy długie rzędy więźniów ustawione w kolejce do drewnianego szaletu i otaczających ich czerwonooarmiejców, trzymających w ręku gotowe do strzału karabiny z osadzonymi długimi bagnetami. Taki widok przyniósł młode dusze i budził strach i nienawiść do bolszewizmu.

Pewnego dnia w jednej z sal wykładowych znaleziono wiszący na ścianie portret Stalina z zasmarowaną masłem twarzą. Po kilkunastu minutach zjawili się funkcjonariusze NKWD. Zamknęli się w pokoju nauczycielskim i długo rozmawiali z dyrektorem Doboszem oraz nauczycielami. Na drugi dzień wszyscy uczniowie trzeciej klasy zostali usunięci ze szkoły, a rodziców kolejno wzywano do NKWD na przesłuchanie. Po jakimś jednak czasie sprawa uległa uspokojeniu. Wszyscy uczniowie wrócili do szkoły, a dyrektor Dobosz wygłosił przemówienie potępiające tego rodzaju wybryki.

W zimne jesienne południe kazano całej klasie pójść na dworzec, aby powitać powracającego z Białegostoku delegata. Wysłano go tam, aby jednogłośnie zażądał przyłączenia zachodniej Białorusi do Związku Radzieckiego. Delegatem był dyrektor Omieljanowicz. Na dworze siąpił drobny deszcz, więc w poczekalni było aż gęsto od przybyłych na powitanie osób. Większość z nich stanowili Żydzi, a znikomą mniejszość my. Były również transparenty, kwiaty, a nawet orkiestra strażacka złożona również z Żydów. Jakiś czas wałęsaliśmy się po dworcu oglądając wagony podziurawione ogniem lotniczych karabinów maszynowych. We wrześniu „dzielne stalinowskie sokoły” zaatakowały ciuchcie uwożącą ku litewskiej granicy polskie kobiety i dzieci. Sądząc po śladach można było przypuszczać, że nie obeszło się bez ludzkich ofiar. Zmarznięci i przemoczeni weszliśmy do poczekalni. W niedużym pomieszczeniu było gwaro i duszno, śmierdziało machorką i brudem. Zgromadzeni w kąciaku myśleliśmy tylko o tym, kiedy się skończy to ohydne przedstawienie. Dziwiliśmy się, że budzący duży autorytet kolega Bartosiewicz zajadłe flirtował z Żydówkami i wyrażał się przy tym tak prawomyslnie, że budził śmiech mimo woli. Raptem dał się słyszeć głośny rumor szybko uciekających z sali ludzi. Nie znaleźmy początkowo przyczyny takiego nagłego ruchu, ale po chwili ten sam powód zmusił nas do pójścia śladami innych. Oto ktoś rzucił pod nogi buteleczkę z gazem łzawiącym. Korzystając z okazji całe towarzystwo rozeszło się do domów, a gdy przyjechał pociąg i z wagonu wyszedł „reprezentant woli narodu białoruskiego” powitała go tylko grupka płaczących i drżących z zimna Żydów. Wypadek ten jednak nie pociągnął żadnych represji na terenie szkoły.

Z nadejściem zimy stawało się coraz smutniej. Wszystkie sklepy świeciły pustkami, oprócz bowiem jabłek nie można było w nich kupić żadnego towaru. Brakło podstawowych produktów, jak: soli, mydła, nafty, zapalek itp. Oficjalnie zapewniano, że trudności związane z obejmowaniem wyzwolonych terenów uniemożliwiają dostawę. Wersję tę w szkole uzupełnialiśmy autorytatywnym stwierdzeniem, że jadące do nas towary zahaczyły o Finlandię, gdzie bandyci spod znaku Mannerheima wszystko zrabowali.

Braki materialne starano się pokryć działalnością kulturalną. Dopóki było względnie ciepło wyświetlano filmy pod gołym niebem, z nastaniem jednak chłódów puszczano je w klubie. Chodziliśmy tam, aby spotkać się z kolegami i porozmawiać o wszystkim co leży na sercu. Pod kinem dowiedziałem się o bohaterskiej ucieczce polskiej łodzi podwodnej „Orzeł” z Tallina. Byliśmy przekonani, że okręt ten bierze udział w walce z bolszewikami u boku Finów. W wyobraźni widzieliśmy torpedowane przez niego statki sowieckie pełne krasnoarmiejców.

Szybko zauważyliśmy, że wszystkie filmy posiadały jakąś wspólną cechę. Radziecki człowiek zawsze był dzielny, odważny, chodził z wypiętą piersią, mówił głosem wulgarnym, wyrażającym jego krzepę. Treść każdego filmu była łatwa do przewidzenia. Większość przedstawiała bohaterskie wyczyny bolszewików z czasów wojny z Polską oraz z Japończykami. Jakaś potyczka z oddziałem japońskim nad jeziorem Hasan nabierała epokowego znaczenia. Osnuta na tym wydarzeniu pieśń o trzech czołgach śpiewana była przy każdej okazji. Uczono jej w szkołach, w klubach i na ulicach. Śpiewali ją wszyscy Żydzi.

Szczególnie antypolski charakter miały filmy „Szczors” oraz „Minin i Pożarski”. Akcja pierwszego filmu toczyła się w latach 1919-1920 na Ukrainie i Podolu, drugiego zaś w Moskwie w latach 1610-1613. Polnym traktem wśród pszenicznych równin Podola cofają się oddziały czerwonej armii. Na noszach niesionych przez swoich towarzyszy kona kilkakrotnie ranny bohaterski Szczors. Polska artyleria ostrzeliwuje drogę, pola i wioski. Cały horyzont zasnuty jest czarnym dymem płonących zbóż i domów. Szczors dobywając resztek sił unosi się nieco tak, aby móc wyciągniętą pięścią pogrozić w stronę zachodu i powiedzieć: „przeklęci Polacy, minie rok, minie lat pięć, dziesięć, dwadzieścia – ale jeszcze wrócimy!” Nastrojową muzyką oraz widokiem czołgu łamiącego słup graniczny z białym orłem i napisem „17 września 1939 roku – wróciliśmy”, kończył się ten wysoce pouczający film. Z kolei „Minin i Pożarski” przenosił nas trzysta lat wstecz, w czasy okrutnej okupacji Moskwy przez butnych i złych Polaków. Gdy nikczemni bojarzy płaszcą się przed okupantem i na Kremlu biją pokłony przed dowódcą polskiego garnizonu, dzielny lud pod wodzą księcia Pożarskiego chwyta za prymitywną broń i zaczyna nierówną walkę. W wyniku starć księżę Pożarski zostaje ranny, Moskwa spalona, a dzielni jej mieszkańcy bezlitośnie wygnani. Niebo zasnuwają chmury dymów płonącej stolicy. Wzdłuż ośnieżonej równiny ciągnie niekończący się łańcuch uchodźców. Na saniach leży okryty kożuchami ranny księżę Pożarski. Wiatr na chwilę rozwiewa dym i ukazuje się kremlowska wieża, na której powiewa dumnie polska chorągiew z białym orłem. Ranny księżę, podobnie jak w poprzednim filmie Szczors, unosi się nieco i tłumiąc łzy wściekłości woła: „lepiej śmierć niż ten widok!”. Wojna toczy się nadal. Do walki staje cała Ruś. Na poskromienie Moskwy przybywają polskie doborowe wojska, którymi dowodzi Chodkiewicz i Czarniecki. Pokazano wspaniały atak naszej husarii. Na nic się jednak zdały wysiłki Polaków. Zwyciężył patriotyzm rosyjskiego ludu i mądra strategia księcia Pożarskiego. Polacy zostali rozbici, a uciekająca na piechotę husaria ku wielkiej uciechu radzieckich widzów pogubiła swoje skrzydła. Film kończył się wiecem na Placu Czerwonym w Moskwie, na którym Pożarski wskazując ręką na zachód nawoływał do czujności, ponieważ jak długo będzie istnieć Polska, stanowić ona będzie zagrożenie dla Moskwy. Uzupełnieniem całości był cytat z wypowiedzi Lenina o podobnej treści.

Film ten drażnił nas, lecz mimo to oglądaliśmy go kilka razy. W okresie nienawiści do wszystkiego co polskie i okrutnych prześladowań chcieliśmy ujrzeć na wieży kremlowskiej, na tle płonącej Moskwy, polski sztandar z białym orłem.

Nasi żołnierze ukazywani w filmach mieli przeważnie krzywe nogi, wysokie rogatywki z olbrzymim orłem i czasami łatanie spodnie. Również Japończycy, chociaż nie kawalerzyści, także mieli nogi prostowane na becze i wszyscy jak jeden nosili okulary.

Od ustalonego szablonu odbiegał nieco tylko „Aleksander Newski” Eisensteina. Chociaż i tu mieszkańcy Nowogrodu byli bardzo podobni do wyidealizowanych ludzi radzieckich, a prawdziwą świadomość narodową i patriotyzm przejawiał lud, podczas gdy warstwa bogaczy skłonna była nawet do zdrady. Główny bohater przypominał bardziej bolszewickiego komisarza niż szlachetnego i czczonego przez cerkiew prawosławną księcia. Różnica polegała jednak na tym, że śmiertelnym wrogiem całej Rosji byli nie Polacy i nie Japończycy, lecz Niemcy. Wprawdzie sprzed siedmiuset lat, ale mimo to przedstawiający śmiertelne niebezpieczeństwo dla Rusi – nie zmyślone, jak w odniesieniu do Polaków, lecz jak najbardziej realne. Było to tym bardziej dziwne, że Niemców nie można było krytykować, nie można było o nich źle pisać i wyrażać się, aby nie narazić na szwank wieczystej przyjaźni między dwoma narodami. Mimo woli odczuwało się sympatię do twórców tego filmu i obejrzało się go również ze dwa razy.

Oprócz projekcji odbywały się w Domu Kultury również liczne koncerty, na które często chodziliśmy. Sala przepełniona była Żydami, wojskiem i dziećmi. Polacy z reguły na tego rodzaju filmy i koncerty nie przychodzili. Siedziałem raz w tłumie cuchnących od machorki krasnoarmiejców obok Jacka Kandybo i przyglądałem się popisom amatorskiego zespołu wojskowego. Raptem poczułem lekki kuksaniec i usłyszałem głos Jacka: „Zgadnij, co mam w ręku?”. Spojrzałem zły, że mi przerywa oglądanie jakiegoś tańca. W ręku Jacka ujrzałem bojowy polski granat. „Pieprznąć tym cackiem w tę hołotę?”

– zwrócił się do mnie Jacek. „Na miłość Boską, schowaj to!”. Powoli, z ociąganiem i jakby z niechęcią schował do kieszeni granat i spokojnie zaczął obserwować dalszy ciąg przedstawienia. W parę minut później zapomniałem o tym incydencie i ja.

Na niektóre przedstawienia chodziliśmy całą szkołą w czasie godzin lekcyjnych. Na jednym z nich między innymi tańcami został wykonany polski „Kujawiak”, zapowiedziany przez konferansjera jako „kujawjak”. Mimo, że wykonanie jego nie było nadzwyczajne i układ oraz tempo wypadły bardzo blado w porównaniu z ognistymi kozakami, zrobiliśmy wykonawcom długą i gorącą owację.

Ludność Braślawia po raz pierwszy ujrzała tej jesieni obchody rocznicy rewolucji październikowej. Kilka dni przed tą uroczystością ustawiono na ulicach wysokie na kilka metrów portrety aktualnych przywódców państwa radzieckiego, na których widok chłopskie konie stawały z przerażenia dęba i wiały galopem mimo wysiłków powstrzymania ich przez nie mniej przerażonych woźniców. Wszystkie parkany oblepiono plakatami i hasłami, a ważniejsze budynki udekorowano od ziemi po dach czerwonymi wstęgami. Nieprzystawczajonych do tego rodzaju maskarady wszystko to śmieszyło; życie jednak nie pozwalało na śmiech. Z tego rodzaju bolszewickimi świętami łączyło się zazwyczaj tak zwane „wzmoczenie czujności”, polegające na zaostrzeniu donosicielstwa, szpiclowania i nasilenia aresztowań.

Wieczorem w dniu 6 listopada odbyła się w Domu Kultury akademii, na której musieliśmy być obowiązkowo obecni. Szliśmy z Bronkiem Kasperowiczem jak zwykle rozmawiając o przyszłym zwycięstwie nad hitleryzmem i bolszewizmem, gdy nagle grupa młodych Żydów brutalnie zepchnęła nas z chodnika z krzykiem: „z drogi polskie psy, skończyły się wasze czasy!”. Z oburzenia oniemiałem. Nie oniemiał Bronek. „Jeszcze się nie skończyły parszywy Żydzie, jeszcze na twojej gębie mogą się powtórzyć!” – wołał rozszalony Bronek. Zaciskając pięści gotował się do skoku, lecz przerażona piątka żydowskich wyrostków nie czekając na finał ewentualnego starcia rzuciła się do ucieczki i dopiero z bezpiecznej odległości zaczęła miotać na Bronka przekleństwa i pogrożki. „Jeszcze ty nas popamiętasz łobuzie! Jeszcze gnijąc w podвале będziesz żałował swojej złości ty polski psie!” – wołali na wrywki odzyskujący odwagę Żydzi.

Nie zwracając dalszej uwagi na grupę napastników poszliśmy gawędząc do zapelnionego publicznością Domu Kultury. Usiedliśmy obok profesora Wójcika, zwanego przez nas Atramencikiem-Momencikiem i aby się czymś zająć w czasie nudnej i niezrozumiałej prelekcji wciągnęliśmy swego polonistę do rozmowy na aktualne tematy. Na nasze przypuszczenia, że wiosną wróci znów na tę ziemię Polska odrzekł, że nie wróci ani za rok, ani za dziesięć lat, że – na odwrót – władza radziecka wkroczy do całej Polski. Takie twierdzenie wypowiedziane przez polonistę zdziwiło nas, lecz nie przeraziło. Uważaliśmy to za dowcip lub za dowód strachu. To jest niemożliwe – odpowiedzieliśmy – ponieważ bolszewicy są przeciwnikami każdej Polski; nie chcą nawet słyszeć o jakiejś tam, nawet komunistycznej Polsce. Pogląd ten zmieni się z czasem – odpowiedział nasz Atramencik-Momencik. Dalszą rozmowę przerwały oklaski, jakimi skwitowano prelekcję. Rozpoczęła się część artystyczna. Powoli rozsunała się kurtyna i ukazały się szeregi żołnierzy NKWD na tle olbrzymiej, oświetlonej czerwonej gwiazdy. W takt przytłumionej melodii jakiegoś marsza rozpoczął się w miejscu marsz żołnierzy, a stojący obok narrator dramatycznym głosem recytował:

A oni idą
idą wciąż
socjalizmu chwała.
Idą tam,
gdzie krew i łzy,
i śmierć gdzie buszowała,
aby wyzwolić bratni lud
z ciężkich niewoli kleszczy.
Tam, gdzie rozpostarł
skrzydła swe
wojenny ptak złowieszczy.

Do dźwięku muzyki przyłączył się początkowo cichy, lecz stopniowo nabierający siły i mocy śpiew:

Przez pola i przez lasy
poszedł bojowy zwiad
by z nami był na wieki
nasz białoruski brat.

Tego rodzaju recytacja, połączona ze śpiewem, potężniała z każdą chwilą. Przerywał ją głos narratora udający komunikaty radiowe. Głosiły one chwałę czerwonej armii zajmującej coraz to nowsze polskie miejscowości. W końcu – po grubej grobowej cichy – komunikat obwieścił: „niezwyciężona Armia Czerwona posuwając się na zachód na południowym odcinku frontu zdobyła Lwów, a na północnym Białystok. Pańska Polska przestała istnieć!” Zabrzmiały dźwięki międzynarodówki, a po

niej burzliwe oklaski żydowskiej publiczności. Chybką wymknęliśmy się z sali, bo oglądanie tego widowiska napawało nas oburzeniem i wściekłością. Mimo woli szukałem wzrokiem Jacka Kandybo, myśląc o jego bojowym granacie. Oczami wyobraźni widziałem wybuch na środku sceny. Stopniowo odzyskiwałem spokój i zapomniałem o drażniącej nasze dusze akademii. Szybki powrót do równowagi duchowej jest przywilejem młodości. Młodość pozwalała nam patrzeć w przyszłość z optymizmem i nie załamywać się pod brzemieniem narodowego nieszczęścia.

Następnego dnia, maszerując całą szkołą na defiladę, dowcipkowaliśmy z wczorajszego artystycznego wieczoru. Defilada nie wyglądała zbyt imponująco. Najpierw przemaszerowały oddziały „zafufajczonych” brudasów, zwanych piechotą niewyciężonej Armii Czerwonej. Przed trybuną wysunęły się do przodu bagnety i rozległ się okrzyk: „Uraaa!”. Moment ten pokwitowaliśmy nietajonym śmiechem, bo zamiast miarowego uderzenia nóg słyszeliśmy dźwięki: „człap-człap!”. Za piechotą przemknął oddział nie lepiej prezentującej się konnicy, następnie ukazała się artyleria, a za nią parę samochodów pancernych i kilka hałaśliwych tankietek. Defiladę wojskową zamykały kuchnie polowe, które nazwaliśmy najbardziej ulubioną bronią krasnoarmiejców. Nasze gimnazjum otworzyło pochód ludności cywilnej. Przeszliśmy zagapieni nie tyle na osoby stojące na trybunie, ile na grupkę cywilów postawionych specjalnie po to, aby wznosiła okrzyki. Nie pominięto i nas w okrzykach. „Niech żyje radziecka młodzież, budowniczy szczęśliwego jutra” – wykrzyknął jeden z grupy. „Ura – ура!” odpowiedziała jak echo reszta grupy. Za nami szedł wrzeszczący tłum Żydów z transparentami w języku żydowskim i rosyjskim, z portretami przywódców partii, z czerwonymi gwiazdami i takimiż flagami. Tak obchodzono w Braślawiu 22 rocznicę rewolucji październikowej.

Następnego dnia oczekiwałem na przyjsie Bronka, aby podzielić się wrażeniami z defilady, ponieważ nie widziałem go w tym dniu między szkolną młodzieżą. Daremne, bo jak później dowiedziałem, Bronek został aresztowany. Straszliwy wyraz „podwał” nabierał coraz wyraźniejszego kształtu.

Przed Bożym Narodzeniem nastąpiły świąteczne ferie. Przyjechał po mnie brat i szczęśliwy jak dawniej wyruszyłem z nim do domu. Mróz i zimny wiatr przenikał kożuszek, a stara klacz ciągnąca sanki była biała od szronu. Widok płonącego w szczytku ognia i siedzącego przed nim ojca pozwolił zapomnieć na chwilę o smutnych czasach.

Wieczór wigilijny upłynął w pogodnym nastroju. Przy stole zasłanym sianem i przykrytym białym obrusem zebrałiśmy się wszyscy jak dawniej, tylko modlitwę przed wieczerzą mama uzupełniła trzema zdrowaśkami za poległych. Wieczera była skromna. Nie było ani śledzi, ani ryb, ani cukru, ani miodu. Do jedzenia jednak nie przywiązywaliśmy wtedy żadnego znaczenia. Grunt, że byliśmy razem w swoim gronie rodzinnym. Po kolacji poszochdzili się sąsiedzi, aby posłuchać wiadomości z Braślawia i porozmawiać o różnych sprawach, na które w pracowite powszednie dni nigdy nie ma czasu. Zmuszono w końcu brata, aby po raz któryś z rzędu opowiedział swoje wojenne przygody.

Pierwszy pułk legionów wyjechał z Wilna w dniu 31 sierpnia – wspominał. – Gorączkowe przygotowania zostały zakończone w terminie. Były to momenty, w których ludność cywilna miejscowego pochodzenia demonstrowała swoją jedność z armią i całym narodem. Zdarzało się, że przed koszarami zjawiał się chłop spod wileńskiej wsi z łaciatą krową na postronku i prosił, aby ją wzięto na potrzeby armii. Odjeżdżający pociąg drżał od śpiewu:

*Bywaj dziewczę zdrowe!
Ojczyzna mnie woła.
Idę za kraj walczyć
Wśród rodaków koła.*

Ludność wileńska rzucała kwiaty, kobiety płakały, a starsze panie kreśliły znak krzyża nad ruszającym transportem. Tak dzieci ziemi wileńskiej wyruszały w pole, aby złożyć kolejną daninę krwi na ołtarzu jednej i niepodzielnej Ojczyzny. W pociągu wspomnianego ostatnie lato, w czasie którego legionieści przygotowali się do wielkiego widowiska scenicznego pt. „Miecz i serce”, jakie miało się odbyć na Zamku Gedymina. Wszystko to zostało z nimi. Wszelkie wątpliwości zostały rozwiane w Grodzie, gdzie obwieszczono im wybuch wojny. Przyjęli tę wiadomość jako rzecz naturalną. W Białymstoku ujrzeli niemieckie samoloty i świecące smugi pocisków polskiej artylerii przeciwlotniczej. Spokojnie dojechali do Małkini, gdzie nastąpiło wyładowanie pułku z wagonów, a następnie długi marsz przez Ostrów Mazowiecką na północny zachód za rzekę Narew. Tam czekały ich boje. Rozpoczęły się walki budzące gorycz z sercach żołnierzy. Na pogodnym niebie nie ukazał się ani jeden polski samolot, natomiast lotnictwo wroga nie dawało ani chwili wytchnienia. Wsparcie własnej artylerii równało się prawie zeru. W bezpośrednich walkach nieprzyjaciel nie wywierał grozy. W bitwie na linii Różan – Pułtusk został kilkakrotnie odparty zaścilaając trupami ogrody i pola. Obsługa ciężkich karabinów maszynowych nie patrząc na celownik strzelała do uciekających Niemców, kierując się kurzawą, jaką wznosiły uderzające o wysuszoną ziemię pociski. Przeglądając później trupy nieprzyjaciela w kieszeni jednego młodego hitlerowca znaleziono list od dziewczyny, w którym zagrzewała go do bezlitosnej walki z nienawistnym polskim narodem. Dowódca kampanii tłumacząc list zaznaczył tylko: „Tak się

skończyła wojenna kariera hitlerowskiego smarkacza podjudzanego przez młodą Niemkę do brutalnej walki z Polakami. Być może nie zdążył nawet zobaczyć z bliska polskiego żołnierza”. Bywały momenty grozy, kiedy to celowniczy dostał kulą w czoło i śmierć nastąpiła tak nagle, że nie wypuścił z ręki spustu, tylko lekko się położył na CKM-ie. Brat odepchnął trupa na bok i sam ujął za spust śmiertelności maszynki, ale gdy zginął kolega podający taśmę, przeciągnął CKM w inne miejsce. Bywały i śmieszne momenty. Wojsko cofało się mimo ciągłych strat we względnym porządku i dopiero pod Domanicami silny ogień artyleryjski wroga zdołał rozbić zgrupowanie i zmusić pojedynczych już żołnierzy do poddania się. Niemcy ujęli brata wraz z trzema kolegami w wiejskiej chałupie, gdzie zamierzali przebrać się w cywilne ubrania. Pozbieranych jeńców zgromadzono w siedleckim więzieniu, a następnie pieszo poprowadzono na północ. Zaciskały się zęby z bezsilnej wściekłości na widok niemieckich operatorów filmowych fotografujących z przodu, z boków, z dachów samochodów i z samolotów długie kolumny jeńców. Starsi koledzy kazali jednak unosić zmęczone głowy i nie okazywać przygnębienia oraz obojętnie przyjmować drwiny niemieckich żołnierzy. Po raz pierwszy ujrzeni poniżenie godności ludzkiej i okazywanie jawnej radości z cudzego nieszczęścia. Obok szosy wygnani z miasteczka Żydzi rękami zagrzebywali rozkładające się trupy końskie, a eskortujący jeńców Niemcy rechotali na ten widok z uciechy. W całej kolumnie jenieckiej panowało milczenie. Przez teren Prus Wschodnich do obozu położonego w pobliżu Królewca w miejscowości Stablak, jechali pociągami. Obóz składał się z kilku szeregów dużych namiotów, mogących pomieścić około setki ludzi. Było głodno i chłodno. Cztery tygodnie nie zdejmowało się butów, wskutek czego nogi popuchły i potworzyły się rany. Niemieckie władze obozowe nie okazywały początkowo jawnej pogardy i nienawiści, zakazywano nawet używania słowa „niewolnicy”. Jesteście jeńcami wojennymi, a nie żadnymi tam niewolnikami – podkreślali w rozmowach z żołnierzami niemieccy oficerowie. Jednocześnie odbywało się badanie poszczególnych jeńców pod względem ich przynależności rasowej, religijnej i narodowej. W pierwszych dniach pobytu zwolniono wszystkich żołnierzy, którzy przyznawali się do jakichś niemieckich przodków, następnie osoby podające się za Ukraińców, Litwinów i czasem Białorusinów. Było sporo Polaków starających się o zwolnienie z obozu, którzy uczyli się intensywnie ukraińskiego pacierza, aby na egzaminie przy komisyjnym stoliku wyrecytować go bez zająknięcia się. Przede wszystkim jednak oddzielono wszystkich Żydów i zgromadzono w jednym namiocie stojącym w rogu obozu. Nie wolno im było poruszać się po obozie i kontaktować się z pozostałymi jeńcami. W namiotach polskich wkrótce została zorganizowana pomoc dla żydowskich kolegów. Różnymi drogami przemycano do odosobnionego namiotu część skąpych racji żywnościowych. Inteligentniejsi szeregowcy, podoficerowie i ukrywający swoje stopnie oficerowie wygłaszali codziennie pogadanki na temat absurdalności głoszonej przez hitlerowców rasistowskiej teorii. Co ciekawe – często najaktywniejszymi obrońcami kolegów stawali się ludzie, którzy przed wojną jawnie sprzyjali antysemitom. Jednej nocy obudziły żołnierzy przeraźliwe krzyki i jęki dochodzące z żydowskiego namiotu. Wszyscy zerwali się na nogi. Kto tylko docisnął się do jakiejś szpary, opisywał reszcie obserwowaną scenę. Oto grupa uzbrojonych w grube kije hitlerowców weszła do namiotu i zaczęła masakrować śpiących nieszczęśników. Przerażliwe krzyki i jęki napawały wszystkich uczuciem grozy, przerażenia i nienawiści do niemieckiego barbarzyństwa, a jeden z podoficerów zawołał: „Bóg jest mimo wszystko sprawiedliwy i za taką jedną noc może złamać całą teutońską butę i siłę!”. Do siedzącej wraz z bratem grupki przybiegł przerażony Edek Żwirbliński z prośbą: „Dajcie mi czym prędzej brzytwę, boja z tą paskudną brodą mam wygląd starozakorny!”. Jeszcze mnie szwabcy zgarną i zamkną w żydowskim namiocie. Strach Edka był całkowicie uzasadniony, bo Niemcy często wpadali do namiotów i wyszukiwali ukrywających się między aryjczykami Żydów. Każda osoba o podejrzanym wyglądzie mogła być narażona na niebezpieczeństwo. O dalszych losach jeńców żydowskiego pochodzenia brat nie wiedział nic, ponieważ wraz z innymi kolegami podpisał zgodę na pracę na terenie Rzeszy Niemieckiej w charakterze cywila. Pierwszym transportem wyjechał do Elku, gdzie ich przydzielono do pracy w okolicznych majątkach rolnych. Grupa jeńców, w której znajdował się brat, dostała się do majątku Gut Kobylinen, leżącego trzy kilometry od polskiej granicy. Był to pierwszy przyjemniejszy dzień w czasie całego okresu niewoli. Bez żadnej eskorty jechali na długiej furze, którą powoził wąsaty Mazur. Gospodyni majątku – również Mazurka – zapewniła ich o dobrym traktowaniu i prosiła, aby jakimś niewłaściwym zachowaniem się nie narazili siebie i ich na przykrości ze strony władz hitlerowskich. „Płakaliśmy – mówiła – gdy w pierwszym dniu wojny na polskiej stronie ujrzelśmy łuny pożarów. Musieliśmy jednak na zewnątrz kryć się z tymi uczuciami i udawać radość ze zwycięstwa Vaterlandu”. Brat z opuchłymi nogami długo leżał w łóżku, a dzieciaki grały z nim w karty w „Ein und zwanzig” i „Schwarze Peter”, kłócąc się zajadle w języku to polskim, to niemieckim na przemian. W miarę jednak polepszania się stanu zdrowia rosła chęć ucieczki, a widniejąca biała wieża kościoła w Grajewie wabiła jak magnes. O ucieczce właściwie marzyli wszyscy, lecz powstrzymywał ich lęk przed schwyтaniem i odesłaniem z powrotem do obozu. Brat i jego pięciu kolegów tego rodzaju obaw nie mieli. W dzień przed zaplanowaną ucieczką wyciągnęli z drzwi hak z kłódką, na którą zamykano na noc pokój jeńców-robotników. Następnie lekko ten hak wepchnęli z powrotem do poszerzonego otworu, tak aby w nocy jednym szarpnięciem otworzyć drzwi. Po zmroku,

gdy całe towarzystwo zmęczone kopaniem buraków spało, grupa opuściła bez zbytniego hałasu dom i kierując się gwiazdami ruszyła na południe. Posuwali się ostrożnie, wykorzystując zdobyte na froncie doświadczenia z patroli i zwiadów. W dzień spali ukryci w jakiejś gęstwinie leśnej, otoczonej nadbrzańskimi bagnami. Śniadaniem poczęstował ich jakiś Mazur z okolic Osowca. W tym miejscu rozeszły się drogi uciekinierów. Brat ruszył na wschód w stronę Grodna. Będąc przekonany, że powiat braślawski został przekazany Litwie udał się do biura wydającego zezwolenia na wyjazd do Wilna. Przed biurkiem kłębił się olbrzymi tłum. Każdy, kto mógł, starał się przedostać na teren wolnej Litwy. Dopiero w biurze dowiedział się, że ziemie nasze leżą – niestety – poza granicami Litwy. Pierwszym lepszym pociągiem przedostał się do Mołodeczna, a stamtąd przez Wilejkę do Drui. Z Drui ruszył znaną już drogą przez las do domu i w lesie tym po raz pierwszy zatrzymali go bolszewicy. Noc spędził na strażnicy w Bolujach, skąd po krótkich badaniach i po otrzymaniu zaświadczenia stwierdzającego, że jest mieszkańcem Dumaryszek wracającym z niemieckiej niewoli, przyszedł szczęśliwie do domu. Rodzice nie posiadali się z radości. Wbrew wszelkim przypuszczeniom wrócił zdrowy i cały, pełen werwy i pogody.

Słuchałem z zapartym oddechem opowiadań brata, bo umiał przekazać swoje wrażenia w sposób bardzo interesujący i sugestywny. Oczami wyobraźni widziałem braślawskich Żydów babrających się rękami w końskiej padlinie. Gdy opowiedziałem to bratu, zostałem ostro skarcony. „Są dranie, to prawda! – powiedział. – Lecz draństwo ich wypływa z głupoty i braku jakichkolwiek przyjaznych uczuć do Polski. W Polsce różna hołota nieraz im dokuczała i dzisiaj chcą się odegrać. Z czasem poznają na własnej skórze bolszewickie szczęście i wtedy zmagdzieją. Życzyć nieszczęścia nikomu nie wolno”.

Mieszkający w lesie nad granicą łotewską sąsiad Józef Szmiel, zwany nie wiadomo czemu Michalu-
czonkiem, przyniósł wycinek z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z kwietnia 1939 roku z prośbą o wyjaśnienie sensu zawartej tam przepowiedni. Otóż – jak informował dziennik – pewien egiptolog w starych papirusach znalazł dziwnie brzmiącą przepowiednię spisaną kilka wieków przed Chrystusem przez kapłanów. Przeliczając zawarte w przepowiedni informacje odkrył, że w 1939 roku wybuchnie straszna i okrutna wojna, która obejmie cały świat i szczególnie dotknie naród Izraela. Trwać będzie bardzo długo – trzynaście, a może i więcej lat. Będą okresy długich przerw, które ludzkość uzna za okres pokoju. Nie będzie to jednak pokój, lecz inny etap tej samej wojny. Charakterystyczną cechą będzie brak nadziei, zwątpienie, terror, prześladowania, ucisk fizyczny i moralny. Przepowiednia wymieniała szereg dat decydujących o zwycięstwach i klęskach, których niestety nie zapamiętałem.

Długo rozmawialiśmy na temat tej tajemniczej przepowiedni. Każdy był przekonany, że wojna skończy się na wiosnę 1940 roku. Tymczasem egipcjacy kapłani straszili, że potrwa trzynaście lat. Wszyscy orzekliśmy, że to nieprawdopodobna bajka. Zaciekawiała nas jednak wspomniana w przepowiedni data 29 listopada 1939 roku. Co mogło się zdarzyć w tym dniu? Ktoś w końcu przypomniał, że wtedy Związek Radziecki zaatakował Finlandię. Zrobiło nam się jakoś nieswojo na myśl, że fakty zawarte w groźnie brzmiącej przepowiedni zostały w pewnym stopniu potwierdzone. Dlaczego jednak za początkową datę wielkiej wojny uznano napaść Rosji na Finlandię, a nie agresję Niemiec na Polskę – nikt nie mógł dać odpowiedzi.

Wszystkie chwile spędzone sam na sam z bratem poświęciliśmy rozmowom o dalszych losach Polski. Nawiązywałem przeważnie sam do tego tematu. W jednym z ostatnich dni 1939 roku, w czasie podobnej rozmowy, pokazał mi zdobyty gdzieś, a może napisany przez siebie wiersz, który tak bardzo mi przypadł do gustu, że po kilkakrotnym powtórzeniu nauczyłem się go na pamięć. Słowa brzmiały następująco:

*Święta miłości kochanej Ojczyzny
Na służbę Twoją pójdzie hufiec nasz.
Od lat najmłodszych do późnej siwizny
Wierną przy Tobie będziem trzymać straż.
Prysną potęgi Hitlerów, Stalinów.
Wierni przy Tobie będziem aż po zgon,
Bo takich Polsko masz dziś w sobie synów,
Co chcą naprawić wodzów drogę złą.
Przeto Ojczyzno ślubujemy Tobie
My, Twoja armia, którą hańbi wróg,
Albo zwyciężym, albo legniem w grobie.
Tak nam dopomóż Przenajświętszy Bóg!
Wzlecisz Ty Orle jeszcze ponad gwiazdy,
Co krwawym blaskiem chcą oślepić nas.
Na Twój zew do boju pójdzie z nas każdy
Tylko nas prowadź Biały Orle nasz!*

Tak się zakończył dla mnie rok 1939. Mimo ogólnie tragicznej sytuacji, w jakiej się znalazł nasz naród, trudno było znaleźć osobę, która by utraciła całkowitą nadzieję.